



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Rodzicielskie złudzenia.

Nawet w kraju tak ściśle i plastycznie wyrażającym swe pojęcia i natchnienia jak Grecya, a już miłość wyobrażano sobie ślepą; wprowadzie ta miłość — to był lekkoskrzydły Amor, bardzo wrażliwy, niebezpieczny psotnik, który rozbijając na oślep po gościńcach ludzkiego serca, sam nieraz własną poranił się strzałą, a z tych ślepych doświadczeń niewiele, podobno do dziś odniósł dojrzałej korzyści.

Jeśli ów skrzydlaty płomyk był i jest ślepy, to miłość rodzicielska, z dawien dawna, właśnie miewała bystre i czujne oczy, miewała nawet jasnowidne spojrzenia w ciemność i świetlane przeczucia w przyszłość. Pomimo tego jednak, i ona nie jest wolną od złudzeń i mrok ich ciągnie się za nią, jak cień za słońcem.

Jak wszystko co jest ludzkie, doczesne, omylne, z piętnem błędu na sobie, tak i ta miłość nawet, choć może najdoskonalsza ze wszechcuców ludzkich, ma tę czysto człowieczą cechę: krańcowość, nieumiarkowanie, przesadę, które są źródłem jej pomyłek, jej złudzeń.

Miłość rodziców pomimo tego była zawsze podwaliną rozwoju rodziny, ludzkości, społeczeństwa, początkiem wszystkich praw, ustaw, urzędów, postępu, rozwojowego dążenia do coraz wyższych stopni cywilizacyjnych. Tak jak dla dziecka wytworzyło się — gniazdo rodzinne ze wszystkimi społecznymi następstwami, tak w duszach rodziców ich miłość dla potomków, z pierwotnego wrodzonego żywiołu przekształcała się w wielką siłę, odpowiedzialną i mądrą,

przezorną, sprawiedliwą i spokojną. Miłość ta dała początek i rozwija dalej całą osobną wiedzę, zwaną: pedagogią, ze wszystkimi jej gałęziami praktycznymi, teoretycznymi, higienicznymi, moralnymi, szkolnymi, psychologicznymi i t. d. Wiedza ta jednak należy do tych, które nie tworzą chwiejnych drabinek hipotez i po nich pną się w rzeczywistość prawdy, lecz właśnie stoi w szeregu nauk, które z doświadczeń codziennych, z owocu spostrzeżeń, prób, usiłowań, pomyłek i złudzeń, dochodzi do istoty swych prawideł, okupionych wielkim nakładem pracy, uwagi, poświęceń, a częstokroć i cierpienia.

Rodzice są najpierwszymi dostawcami do tej olbrzymiej naukowej pracowni pedagogicznej, a im więcej dostarczają materiału zebranego przez uwagę, rozsądek, bystrość spostrzegawczą i umiarkowanie w sądzie, tem lepiej będzie dla samejże wiedzy, a im więcej unikną omyłek i złudzeń, tem lepiej będzie dla nich samych.

Dzisiaj dotknąć chciałam pouczających wprowadzie, ale zawsze przykrych, gorzkich i szkodliwych nieraz dla wychowanków doświadczeń, pochodzących z — rodzicielskich złudzeń. Źródłem tych złudzeń jest albo przesadna, egzaltowana miłość, mianowicie matek, osobliwie zaś matek dla synów; albo lekkomyślny, płytki umysł, albo ostatecznie egoizm, brak serca, które powinno być właśnie busolą bardzo czujną i prawidłową w wychowaniu dzieci. Złudzenia te zaś dotyczą tak samo zdrowia dzieci, jak ich zdolności, moralności, ich wrodzonego typu, ich stosunku później z ludźmi i ich stosunku do rodziców.

Nietylkoż nie zadziwia, ale nawet bardzo wzrusza zachwyt młodej matki nad niemowlęciem, w którym upatruje zbiór piękności, mądrości, zalet i przymiotów, jakie nie sposób, aby już się w niem objawiać mogły. Zresztą matka prze-czuwa nieraz zdolności dziecka i po iskierkach

jego inteligencji, iskierkach niewidzialnych dla nikogo, wnioskuje o rozmiarach myśli, drzemających w tej małej główce. Jeżeli jednak to uwielbienie dziecka trwa lata całe, i zawsze ono się przedstawia rodzicom jako cudownie piękne, mądre, dobre, zdolne, to w końcu to małe biedne arcydzieło zacznie tak wojować, rozpuszczać się, kaprysić, tak się swawolnie rozhuła, że mniemaną doskonałość trzeba będzie wziąć pod surowy rygor, jakiegoby może nigdy nie zaznało, gdyby zaślepieni rodzice byli pierwsi przypuścili możebność w dziecku uporów, złości, kłamstwa i wszelkich możliwych zarazków, tkwiących w duszy małej, a możebnych do wykorzenienia lub przynajmniej osłabienia w samym początku ich objawów. Dziecko rośnie, rozwija się i z owego wielbionego bożyszcza staje się nieznosnym tyranem, wszyscy się na niego żalą, rodzice w rozczerzaniu i zmęczeniu muszą go karać, a mały człowieczek nie wie co się to popsuło w jego losie, że dawniej robił co chciał ku uciechu swego otoczenia, a teraz na każdym kroku spotyka się z dewizą: nie wolno! nie można! nie rusz! a czasem z czemśdosadniejszym. Nie jest jeszcze filozofem, więc niezadowolone swoje objawia krzykiem i płaczem i pojąć nie może, czemu zowego „cudownego złotka“ stał się naraz tym „utrapionym bębniem“. Rozczarowanie jest wzajemne; dzieciak myślał, że zawsze będzie robił co chce, a rodzice ludzili się, że mają kochaną zabawkę, a tu tymczasem trzeba się wziąć do pracy nad tym niekarnym okazem rodzaju ludzkiego. Złudzenie występuje na wielu punktach. To „ładne“ bobo brzydnie, chudnie, żółknie i robi mu się twarzyczka ponura. Co za szkoda! myślą rodzice, mianowicie jeśli to była dziewczynka. Zanosilo się na piękność taką, a tu wyrasta jakies grymasne brzydactwo, przysparzając coraz więcej kłopotu i troski. Rodzice nieuwważni i powierzchownie rzeczy biorący, nie wchodzą w przyczyny tego

„zbrzydnięcia,“ lecz ubolewając nad faktem samym, jakby już nie był do poprawienia, marzyielskie swe złudzenia przenoszą na główkę młodszego „ślicznego“ potomka, który jeszcze jest w rzeczywistości ładny, biały, różowy i śmieszny ze swemi minkami; może choć ten się nie zmieni? A tamto biedactwo tymczasem dalej brzydnie i jest coraz niegrzeczniejsze. Pokutuje za złudzenie tym razem: higieniczne. Rodzice bowiem, martwiąc się utratą urody dziecka, nie weszli w to, że stan zdrowia jest przyczyną tej przygasłej cery, tej posępnej twarzyczki, tych beków i uporu. Dziecko niby chodzi, bawi się, je i żyje sobie dalej, ale zły stan jego trawienia i nerwów pochłania mu siły, humor i piękność. Jeśli ma naturę silną, to przewalczy tę próbę i znów rozkwitnie, lecz jeśli potrzebowało jasnego rozejrzenia się rodziców w całym trybie jego życia i ratunku systematycznego, a tego mu braknie, to zmarnieje całkiem albo wyrośnie na człowieka z lichem zdrowiem i zgryźliwym usposobieniem, dwie przyczyny aby życie obrzydło. Rodzicom się czasem zdaje, że dziecko wygląda „zdrowo,“ a ono tylko jest ładne. Ma wielkie oczy, złote włoski, śnieżną pleć i uśmiecha się rozkosznie. Przez tę piękność nie widzą, że jest za wątłe, że nóżki ma cienkie i nie dość proste, że jest takie „spokojne“ bo „wątłe“ i nie ma siły na żywe odruchy, że takie potulne i „dobre,“ bo „słabe,“ bez sprężystości, energii, głośnej ruchliwości. Są znów rodzice, którzy tak się boją, żeby dziecku coś czasem nie było, że nie chcą widzieć jak już coś jest, a są też i tacy wygodnie egoistyczni, że przyznać nie chcą potrzeby ratunku dziecka, byle się nie trudzić, nie męczyć, nie narazić na zmiany w porządku domowym i na koszt nieodczuwalne. Są także wypadki, że przy wielkiej staranności o zdrowie, dzieci, mianowicie już starsze, źle wyglądają i smutnieją, więc znów zwraca się jeszcze usilniejszą czujność na jedzenie, spanie, spacer, środki odżywcze, ale bez skutku, bo i dziecko „nie samym chlebem żyje,“ i powodem zmiany zdrowia może być stan duszy, zmartwienie, tęsknota, żal jakiś, ambicya, słowem budzący się w dziecku wrażliwy i zmysłowy człowiek z całym półświadomym zastępem niepokojów, tem przykrzejszych, bo nieokreślonych, niejasnych.

— Smutno mi... — mówiła jedna dziewczynka ośmioletnia.

— Dla czego ci smutno?

— Ja nie wiem...

Dziecko było ogromnie zdolne, wrażliwe na piękno, dobre; wielka zagadka doczesnego życia kołatała już do tej duszy niepokojem i smutkiem, a rodzice, bardzo zresztą kochający, na ten niewiadomy smutek leczyli dziewczynkę tranem, masą jaj, mięsa, chinowego wina, przetrwaniem wszelkiej nauki, i dziwili się, że to nie skutkuje. Leczyli ciało — a to dusza chorowała. Zwracano im uwagę na usposobienie dziewczynki.

— Eh, co ona tam wie, czy nie wie! Taki dzieciak będzie miał smutkil jeszcze czego! ma wszystkiego po uszy, czegoż jej braknie!

Zapewne że miała po uszy wszystkiego, ale oprócz uszu miała i duszę do zapełnienia. Ściśła, dobrze udzielana nauka, przyroda, dobre książki do czytania, przyjazna i inteligentna rozmowa, zbliżenie dziecka do dzieci biednych cierpiących nędzę i podanie sposobności, dużej już dziewczynce do niesienia im ulgi, to były sposoby ukojenia tego smutku, który sobie uwił gniazdo w budzącem się sercu małego człowieka. Ale tak się nie stało. Dziewczynka zakarmiana i podsycana fizycznie, dostała przewlekłych cierpień niestrawności, a puszczona, niby dla odpoczynku, pamięć i wyobraźnia, czepiły się leżących po salonach książek, pism, dzienników, które pochłaniała łakomie, aż wreszcie dowiedziała się na swój wiek za wiele, i choć jej nieraz jeszcze bywało smutno, ale jużby nie odpowiedziało „ja nie wiem,“ bo już wiedziała — za dużo! Po paru latach był to odczytany, anemiczny podlotek, a po kilkunastu — zajmująca, ale niekarnie zalotna i nerwowa kobietka, która, jak jej było

smutno, umiała się pocieszać. Szkoda! jaka to mogła być niepospolita kobieta!

Fatalne to jest złudzenie, które widzi tylko — ciało i zdrowie, a nie widzi w dziecku ducha i jego przebudzeń, jego wczesnej już pracy; a duch wstaje rano, tak rano, tak wcześnie, że kiedy starsi myślą, że on w najlepsze śpi, on już czuwa, myśli, pracuje, niepokoi się i — cierpi. To nieprawda, żeby dzieci cierpień nie znały; tak samo, jak zaziębić się mogą równie silnie jak dorośli, tylko że od stokroć złej przyczyny, tak serce ich odczuwa równie głęboko smutek ze swego psychicznego zakresu. Ktoś powiedział, że dziecko stojące nad rozbitym cackiem doznaje takiej samej gniotącej porażki, jak Napoleon na gruzach armii pod Waterloo; tkwi w tem ta wielka prawda, że każde serce ma miarę swych cierpień, a tę miarę powinni w duszy dziecka znać i odczuć, a przynajmniej starać się odczuć jego wychowawcy, jeśli nie chcą się w złudzeniach rozmiąć z duszą własnego dziecka.

Szczęśna.

(Dokończenie nastąpi).

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Czy posunie kulig od dworu do dworu, od zaścianka do zaścianka? Dotąd tej staropolskiej zabawie brak sanny na przeszkodzie stawał, ni to wiosnę, ni to zimę mieliśmy, cieszyli się piecuchy i wróble na dachach miejskich, ale człek przyzwyczajony do uścisków mrozu i do piękności szat zimowych, doprawdy, że tęsknił za tą królową białą, ubraną w perły i brylanty, iglice szronu i śnieżne gronostajów puchy.

Aż oto nagle zawieruszyło się coś w głębinie niebieskiej i spadł śnieg. Nieraz on wprawdzie spadał, lecz topniał pod promieniami ciepłego słońca, tym razem jednak słońce wstrzymało się od uścisków gorących, przyszedł więc mróz, wygładził, roziskrzył puchy śnieżne, nie zważając na sarkanie piecuchów i urywaną skargę wróbli na dachach.

„Kiedy jeździć — to już sanna...“

To też miasto całe rozbrzmiewa od hałasu dzwonek, ale głos ich śpiewny nie przekracza rogatek, nie posuwa się ku Czerniakowu czy Wierzbnu, nie zbacza w prawo, ani w lewo, gdzie ściany szlacheckiego dworu wśród drzew bieleją, nie posuwają się szeregi sanek przy śmiechu rozgłosnym par rozbawionych, a w rytm przodujących gwarowi basetli i skrzypiec.

Zaciekłymi jesteśmy konserwatystami. Gdy uda nam się jakąś nowość wprowadzić, choćby ona przestarzała i czas swój przeżyła, trzymamy się jej oburącz, chcąc koniecznie w próchno tchnąć życie. Tak właśnie rok rocznie bywa z maskaradami — i teraz, jak wspominaliśmy już o tem, tak samo się stało. Nie udały się pod rząd trzy bale maskowe, wysilono się więc na czwartą maskaradę i *coute que coute* chciano ją zrobić zajmującą.

Można się było zebrać licznie — i rzeczywiście zebrano się; można było, częstokroć nieciekawe oblicze pod maską ukryć — i rzeczywiście pomaskowano się, ale dowcipu, gdy go brak, żadna moc ludzka nie wytworzy, na udawaną wesołość, jak na farbowanych lisach, ludzie poznają się dziś łatwo, ozdabianie zastrwarzy przymusowym uśmiechem czyni bolesniejsze wrażenie, niżby go już zupełnie nie było. Maskarado-

wa wesołość, maskaradowe dowcipy do cna się wyczerpały. Panowie we frakach przechadzali się wzdłuż salonów, jakby z jakiegoś nakazu z góry wydanego; zbliżały się do nich fertyczne nawet maseczki, uczeptały się ich ramion i — intrygować starały się.

Maseczki kręciły się, panowie ziewali, tłumy przechodziły z sali do sali, jak cienie skazane na pokutę — nudów. W kącie poszedł polonez, nie ten bezmyślny spacer dzisiejszy, ale ten, któremu pan podkomorzy na murawie w Soplicowie przewodził; w kącie poszedł kulig hulaszczy, który był wyrazem gościnności staropolskiej; cudzoziemskie wprowadzono maski i ukrócono swobodę ruchów i wesołości, która jest dziecięciem zdrowia.

— Masz — karę... — złośliwie śmiały się chłiki, chowając się w załomach gzemów — i bruzda niejedna na poważnym zarysowała się czoło, a maskarą był bal, maskarą jest życie, maskarą jest wszystko!

Bale jednak prywatne i publiczne — te ostatnie nawet — udają się za dobrze.

?

— Nie dziw się, mój kochany przyjacielu, słowa swojego nie cofam. Chcesz, żebym się wytłomaczył? — z chęcią.

Przedstaw sobie salę balową, w której jako tako może tańczyć *dwieście* par, a jest ich *czterysta*, w której może zmieścić się ogółem, i to tak się zmieścić, jak się mieszczą śledzie w beczce, osób *tysiąc*, a tymczasem jest osób *tysiąc trzysta*. Hulaj teraz!...

— Nie sposób!

— Mniejsza o to, ale bal się udał i jak rzekłem — *za dobrze nawet*. Była muzyka, był tłum, był ścisk, tancerze tancerki nie znachodzili, kochający mężowie przymusowy rozwód brali z ukochanymi żonami, słodkie *rendez-vous* kochanków spełzło na niczem, do biesiadnego stołu szło się partiami; partya pierwsza miała czombry zajęte, druga zadowalniała się skokami, trzeciej sosu nieco dostało się, ostatniej sosu nawet zabrakło. Ale bal się udał, boć przecie tańczymy na cele różne; im więcej zaś jest tych ofiarników, tem więcej zyskują szpitale i szpitaliki, biedne matki i biedne dzieci.

Czy to nie poświęcenie?...

Warszawa więc hula, a że karnawał tegoroczny jest bardzo krótki — na umor hula!

Och — hula, hula — potakuje mi nieoceniony kronikarz „Kuryera Codziennego“ i taki obrazek przedstawia rozhulanego tancerza:

„Opanowało mnie poprostu szaleństwo... Muzyka grała mi na nerwach, suknie szeleściły, oddech tancerek palił... I nagle stała się rzecz nadprzyrodzona... Sufit usunął się nad głowami, ziemia uciekła nam z pod nóg i uczuliśmy, że mistyczna siła tańca porwała nas i uniosła gdzieś w niebiańskie przestwory!

„Nie wierzyć? A przecie tak jest. Z wysokości na której znajdowałem się, widać było flotę angielską, gotującą się do pożarcia nadmorskich miast Francji i — drobniutkie statki podwodne francuskie, które czały się, aby flotę nieprzyjacielską wysadzić w powietrze. Widzieliśmy 40 galicyjskich najmitów, których w Honolulu okuto w kajdany i batami zmuszano do zamiatania ulic...“

„Co za olbrzymi horyzont!... Tu piwiarnia warszawska, w której kilku ludzi kłują się nożami... Tam, pod Sosnowcem, około setki rażusów zatrzymało pociąg węglowy i kradną węgiel... Owdzie, pod Kielcami, widać w krzakach ciało jakiegoś nieboraka, który umarł z głodu...“

„Ale Polak szedł mazura, bo nie ma jak mazur!...“

Doprawdy, że gdy wraz z Prusem spojrział z tej wysokości na tych robotników, wlokących się po śniegu, na tych najmitów galicyjskich w Honolulu, na tego trupa w krzakach, zmarłego... z głodu — niedobrze mi się zrobiło... Słyszę gwizd batów, połączony z szelestem sukien jedwabnych i miękkim, pieściwym szmerem aksamitów; a ten umierający z głodu — nie na pustyni, nie wśród skał, nieznających litości... to — to...“

Słów braknie... ale —

Ogromne jest *ale*.

Uderzmy z całą mocą na tego mazura, na te stroje, na ten szal nawet karnawałowy i zmienmy od razu—humor ludzi

Spoważnieją—horyzont się rozszerzy.

Ale nie dosyć oskarżać mazura, usunąć bale—są rzeczy stokroć więcej—szkodliwsze.

Człowiek jest zawsze egoistą. Zrobi dużo, ale robi więcej, jeżeli, bądź co bądź, to zostanie połączone z jego osobistą przyjemnością. Potrzeba jakiejś wesołości nadmiernej, zdaje się, że jest wrodzoną człowiekowi. Upust tej konieczności dają bale — i filantropi skorzystali z tego usposobienia ludzkiego. Śmieszne to, lecz za pomocą nóg Fikalskich korzystają szpitale i szpitaliki, matki biedne i dzieci biedne.

Czy bez „skakania” zbieralibyśmy rok rocznie i tak stale pieniądze na rozmaite czyny miłosierne?... „Dam, ale wybawię się przynajmniej”—powiada większość. I szpitaliki, matki i dzieci zyskują.

Prawda, że zsumowawszy wydatek na stroje, wina i nieodłączne przy tem wszystkim inne wydatki — w dziesięćkroć razy one przewyższą zebrałą sumę na cele miłosierdzia, ale przyjemne i pożyteczne tak ściśle łączy się z sobą, że rozdzielić ich prawie nie sposób. Zresztą, kupując stroje, zyskuje kupiec, kupcowi materiału dostarczają fabryki, a w fabrykach — nad temi jedwabiami i aksamitami pracują setki wyrobników. Każda suknia balowa, da, choć mały bardzo, zysk szwaczce; z pańskiego stołu ochlap jakiego padnie pozbawionym środków do życia.

Łzy zawsze mieszają się ze śmiechem, i łez jest stokroć więcej. Tragikomedją jest ocieranie łez tych nóg fikaniem, lecz, jak wspomnieliśmy, są rzeczy stokroć szkodliwsze.

Usunąwszy choćby najkosztowniejsze bale, nie usunęlibyśmy zła — przeciwnie, świat by się zmienił w jakiś zakon trapiistów, wesołość znalazłaby upust, bo znaleźćby musiała — w kierunku innym, a bodaj czy nie gorszym.

W danej chwili największą klęską jest — wspomniana tylekroć przez nas — rozwielenia gra w karty. Zostawiłbym bale, ale bez „łez i litości” byłbym dla karciarzy.

Rzućmy karty, a zobaczymy jak naraz zamożność wzrośnie i pragnienie zaniejszych rozrywek. Kto wie nawet, czy wówczas najmita galicyjski chodziłby w kajdanach po ulicach Honolulu? czy znajdowałibyśmy w krzakach umierających z głodu?

Ten obraz jednak rzucony przez Prusa, wprost jest łamiący. Przedstawił go nam — śmiejąc się, a krwią bryzgnął. I zrobił dobrze! To wstrząsa, lecz ocuca, porusza żółć, lecz orzeźwia. Z lotu ptaka spojrzymy nieraz na tę ziemię, a horyzont rozszerzać się będzie i będzie i coś się w sercu budzić i coś się w duszy poruszać i — nawet w wirze walca, przytulając do piersi ukochaną kobietę — szepną usta: „Nie zapomnij, że jest... Honolulu!”

Na kominku dogasał ogień, dźwięki muzyki dolatywały mi do ucha... o tem, to o owem myślałem. I przypomniałem sobie, że... otrzymałem przed paru miesiącami list jeden z nad Tykicza. List, pisany ręką kobiecą, w którym żądano ode mnie, ażeby w kronice swojej uwzględnić interesy prowincji dalekich i donosił publiczności szerszej o pracach i zadaniach, jakie tam wypełniają kobiety. Dla ułatwienia zadania kronikarzowi, obiecano przysłać mu wiadomości stosowne, chciano nawet częstszego, listownego z nim porozumienia się, na co otrzymano zgodę zupełną. List był serdeczny i rozumny, ale... bez adresu. W jednej więc ze swoich kronik poprosiłem korespondentkę moją o adres i — „zasypywanie” (obiecawane) listami. Tymczasem podniesiono myśl dobrą — i cicho!...

Przypominam się więc — o tę pracę kobiet w prowincjach oddalonych i o wywiązanie się z danego mi przyrzeczenia.

Karnawał dobiega do końca, za chwilę smutne odezwie się: „Pulvis es!”

Ale oto — przedwcześnie dzwon uderzył i ziemi przybył — proch wielki!

Umarł Juliusz Kossak...

Śmierć znakomitego artysty-malarza boleśnym echem odbiła się w sercu każdym; boleśniej jeszcze w tych sercach, którzy go znali i kochali... Do tych i myśmy należeli.

Ś. p. Kossaka nie można było nie kochać.

Kossak urodził się w r. 1824 w Wisznicy pod Bochnią. Zrazu, w 18 latach życia wstąpił we Lwowie na wydział prawny, ale suchość kodeksów nie odpowiadała jego bujnej i artystycznej naturze. Święty ogień lotów górnych tlał w duszy młodzieńca, uśmiechała mu się przyszłość, z której mgieł wyzierała ku niemu nęcąca, piękną postać sławy.

Malarstwo polskie leżało wówczas w kolebce. Orłowski, Norblin, Michałowski, Statler i Zaleski, zaczęli do sztuki polskiej wprowadzać tematy swojskie, ale były to początki dopiero jej późniejszego rozkwitu. Pomiedzy nimi a zjawieniem się Grotgera i Matejki, leżała pustka niewypełniona niczem. Tę pustkę chciał ś. p. Kossak wypełnić i — porzuciwszy prawo rzymskie — wstąpił na nową drogę wdzięcznej dla siebie pracy.

Konie, sceny szlachecko-obyczajowe, były ulubionym przedmiotem artysty. Opuściwszy Lwów, udał się w podróż po ojczyznych okolicach, zbierając typy do swoich obrazów. Następnie zwiedził Petersburg, Wiedeń i Peszt, w końcu dla wydoskonalenia się w malarstwie udał się na studia do Paryża, gdzie lat kilka pracował pod kierownictwem Vernetów. W r. 1862 powrócił do kraju i osiadł w Warszawie, gdzie objął kierownictwo artystyczne w „Tygodniku Ilustrowanym.” Prędko jednak opuścił Warszawę i przeniósł się na stałe do Krakowa, w którym już do końca swojego życia przebywał.

Czy mamy wymieniać ilość prac ś. p. Kossaka i bawić się w ocenę uznanych już przez świat arcydzieł? Do pierwszej czynności zamało mamy miejsca — o znaczeniu zaś jego w malarstwie polskim zbyt cieżko byłoby mówić. Wyrażamy tu tylko hołd dla polskiego malarza i obywatela kraju i żal nasz z żalem ogólnym łączymy.

??

POSTACIE NIEWIEŚCIE w poezjach L. Kondratowicza.

Studjum psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Pozostawimy za sobą mroczne obrazy mordu i rzezi na zgłiszczach spalonego zamku Pulen, nie wychodzimy jednak z czasów rycerskich Litwy, tylko że czasy te są już ku nam bliższe, ludzie szlachetniejsi i mniej dzicy, jaśniejsze obrazy i sceny. Mówimy o poemacie p. t. „Córa Piastów.” Na stolicę Litwy po Narymuncie zasiadł młody Trojden; odważny i wojowniczy, zdawna łakomym okiem spozierał na dziedzinę księcia Mazowieckiego Konrada. Konrad, dziecko jeszcze prawie, do bojów nie nawykły, lud Mazowsza zajęty żniwami w polu — najstosowniejsza więc chwila do śmiałego na zamek Babiński napadu. Tak myślał litewski książę — i zebrawszy bitną drużynę, wpada w dzielnicę Konrada i atakuje zamek. Książę na zamku nie było, bawił się gdzieś w puszczech mazowieckich łowami, straż zamku nieliczna i do boju nieprzygotowana; po krótkim więc oporze dobywa Trojden zamku i porozstawiawszy w nim czaty, sam przebiega komnaty, aby zabrać co bogatszego łupu. Dobiega do trzecich podwojów, wyłamuje

drzwi — i nagle cofnął się — jakby przelekły chwycił mimowolnie za miecz u boku — i tak po został nieruchomy:

to dziewczica laska
Przeciw zwycięzcom stanęła na progu...
Jak biała róża, gdy jeno rozkwita,
Tak twarz dziewczęcia nadobna i błada;
Lecz jej spojrzenie ogniście się żarzy,
A wyraz strachu nie powstał na twarzy...”

Była to Hanna, córka Ziemowita, siostra młodego Konrada. Po ojcu była wnuczką i prawnuczką Piasta, a krew Chrobrych i Śmiałych płynęła w jej łonie. Wychowywała się też od kolebki, jako na wnuczkę bohaterskiego rodu przystała. Dla dziecięcy starsi piastunka nuciła starą piosenkę bojową, opowiadała o mężnych przodkach, o czynach ich i walkach z Litwą „srogą i łagodną razem...” Książniczka wzrastała wśród szczyku oręża, dzieckiem już igrała z berdyszem stalowym. „Cóż więc dziwnego — mówi poeta — że umysł niewieści zbrałał się z wojen straszliwym obrazem...” Nie dziwimy się więc, że usłyszawszy szczyk bitwy i hałas zbliżających się wrogów, krew bohaterska zagrała w jej żyłach — i książniczka

„W czarnej odzieży i w białym nagłowi
Stała we drzwiach jak rycerz na straży,
Myśliwski oszczep dzierząc w pogotowiu,
Groziła przebić, kto wniósł się odważyć...
Piękny wyraz godności niewieści
Strasliwym ostrzem przebił pierś księżęcia....”

Zatrzymał się więc w progu nieruchomy — olśniony jej pięknnością i zwyciężony tym wyrazem godności niewieści i męstwa, jaki panna wał na twarzy książniczki. A ona — spojrzawszy jeszcze raz po tłumie zwycięzców — mocnym i dźwięcznym głosem zwraca się do księcia: matka jej w komnacie tej leży chora, zaklina więc księcia na cześć rycerską, aby uszanował słabość i niedolę i nie nadużywał praw swego miecza, by nie przestępował progu tej komnaty. Poza tem niech zabiera wszystko, wszystkie skarby z zamku, piwnic i zbrojowni, — bo ona wie, że skarby te do zwycięzcy należą. Lecz niech się nie waży przestąpić progu komnaty, gdzie jęczy chora matka, niech nie szydzi, że słaba jest i młoda:

„Gdy o cześć idzie, Bóg losy stanowi,
Bóg mię uzbraja, a rozpacz sił doda.
Potrafię umrzeć; lecz pokąd nie zgine,
Nie wstąpisz, wodzu, w komnaty matczyne!...”

Przy tych słowach podnosi oszczep, gotowa cios zadać piersi księżęcia, sama na życie niepomna; na twarzy jej płonie rumieniec wstydlivosti dziewiczej, lecz w oczach błyszczy zapal i niezłomna wola. Mężny, lecz zarazem szlachetny książę litewski na tę przemowę rycerskiej dziewczicy opuścił wzrok ku ziemi i z zakłopotaniem oznajmia dziewczycy, że w jego myśli żaden zły zamiar nie powstał; żałuje teraz, że został zwycięzcą i opanował jej zamek, — lecz to są prawa wojny: dla czego nie strzegli go lepiej obrońcy? Uspokaja ją zatem i przyrzeka w tej chwili przerwać srogość wojenną drużyny; prosi tylko, by przyjęli Litwinów na gościnę, a jutro opuszcza zamek i w dalszą puszcza się drogę. Tu wydaje wnet rozkaz drużynie zaprzestania mordów i grabieży, — rozkaz wodza w jednej chwili spełnia się — milkną w zamku okrzyki bojowe, milnie szczyk oręża i nastaje cisza i spokój.

Ten prawdziwie rycerski, szlachetny uczynek litewskiego księcia nie mógł nie sholdować męznego serca Hanny i napawa ją ku niemu wdzięcznością i uwielbieniem. Rycerska książniczka wie przecież, jakie przysługują prawa zwycięzcy w zdobytym zamku, wie przytem, że przy księciu jest siła; tymczasem oto na jej prośbę — na słowo słabej niewiasty, książę rzeka się dobrowolnie wszelkich praw zwycięzcy, umie uszanować jej cześć niewieścią, chorobę jej matki. Ów czyn szlachetny wzbudza uwielbienie w ser-

cu księżniczki, a na tem uczuciu najłatwiej i najtrwalej rodzi się miłość w sercach niewieścich.

Widzimy więc Hannę, jak „oparta na drzewcu od włóczni, zdumionem okiem na Trojdena patrzy; bo czyn szlachetny, piękniejszy, im rzadszy, serce dziewicze zholduje widocznie...” Podnosi tu poeta ten głęboki, znamionujący szlachetność, rys niewieściego serca, że nie piękność fizyczna mężczyzny, nie „włos trefiony” zdolne są podbić serce kobiety, lecz przedewszystkiem *czyn prawdziwie męski i szlachetny*, przed którym najpierw się niewiasta ukorzy, następnie uwielbi, — a następnie pokocha mężczyznę najgłębszą, opartą bowiem na uwielbieniu i szacunku miłością. „Niech z oczu twoich — mówi poeta — zamiast przymilenia, jak błyskawica wielka myśl uderzy; a ta, co myśli, co czyni wywoła, potędze twojej oprzeć się nie zdoła...” I Hanna więc, chociaż widziała na mieczu Trojdena krew swoich braci, nie mogła jednak oprzeć się uczuciu uwielbienia, jakim ją przejął rycerski postępek litewskiego księcia, i serce w jej łonie zabiło żywym tętnem głębszego ku Trojdenowi uczucia.

„Bo serca niewiast lękliwe a drżące
Każde wrażenie do głębi poruszy,
Czułe na piękno, jak kwiatek na słońce,
Lubią się zdumieć bohaterkiej duszy...”

Uśmierzywszy wrzawę i zgiełk wojenny na zamku i zabroniwszy grabieży, powraca Trojden do Hanny i stanawszy przed nią promienny już i wesół, składa ręce jak do prośby, prosi ją, by pozwoliła mu pokłonić się jej matce i spocząć przez chwilę po trudach. Zapłoniona Hanna zaprasza go gościnnie do wnętrza komnat, lecz prosi, by w pierw zdjął pancerz blaszany i odpasał skrwawiony oręż, który mógłby przestraszyć jej chorą matkę; sama znika we drzwiach komnaty, aby uprzedzić matkę o gościnie — i po chwili znów zjawia się przed księżciem:

„Wnijdź, książę Litwy! gość w domu, Bóg
[w domu.]

Mówiła Hanna rumieńcem oblana;
Wzięła za rękę pięknego młodziana,
A już jej ręka drżała pokryjому...”

Trojden — idąc obok niej — słyszał żywe bicie jej serca i ciche westchnienie, — widział, jak zwiesiła główkę, — „a Pan Bóg że zgadnie, co się tam w myśli dziewicze zakradnie?...” Wchodzą do komnaty księżnej: chora, dotąd jeszcze przekonana, że książę Litwy zechce korzystać z praw zwycięzkiego swojego miecza, błaga go o litość nad bezbronnymi, nie widząc zaś syna swego, Konrada, załamuje ręce w bólesci, pewna, że poległ w tej walce... błaga więc Trojdena, aby tem samem żelazem zabił ją zaraz, nie chce bowiem przeżyć śmierci syna... Lecz tu boleść matki żywo przerywa Hanna, oznajmiając jej, że Konrad bawi na łowach z panami, i zapewne na widok zarzewia rychło na zamek powróci. W tem odezwaniu się jej czuć obok chęci uspokojenia matki, zarazem pragnienie zdjęcia coplej z Trojdena posadzenia o zabicie brata i zaskarżenia dlań względów swojej matki. Lecz oto w tej chwili drzwi się rozwarły z trzaskiem i do komnaty wpada Konrad z mieczem w dłoni; zawiązuje się walka pomiędzy obu książętami, która zakończy się chyba śmiercią jednego z nich —

„Lecz w tejże chwili, jak jutrznia poranna
Pomiędzy dwiema grzmotowemi chmury,
Między walczących przedziera się Hanna,
Rozbroić zapęd i gniew ich ponury...”

Przerwawszy walkę, opowiada bratu szlachetny czyn Trojdena — jak na jej prośbę kazał wszelkich gwałtów i krwi rozlewu na zamku zaprzestać, oznajmia mu, że litewski książę wszedł teraz już jako gość w ich progi. Zapaśnicy podają sobie dłonie w uścisku bratnim. W następnej scenie widzimy Polaków i Litwę uczujących na dziedzińcu zamkowym u jednego stołu, na zamku zaś uczującą książętą. Trojden przy wesolej biesiadzie opowiada dzieje walk swoich i łowów —

„A Hanna włosy z nad czoła odgarnia,
Patrzy w Trojdena, słów jego nie roni.
Tak zasłuchana i zaciekawiona,
Sama nie zgadnie, co się w głowie marzy;
Jeno skraśnieje jak wiśnia czerwona,
Gdy wzrok Litwina spocznie na jej twarzy;
A sama nie wie, że swemi oczyma
Lwa strasznego na uwięzi trzyma...”

Ale „król puszczy” nie przywykł hamować w sobie tajonego uczucia: wznosi puhar w górę, pije nim zdrowie najprzód księżnej, potem Hanny, i wręcz prosi matkę o rękę córki. Księżna zdaje rozstrzygnięcie prośby na syna, — a Konrad zwraca się do siostry z zapytaniem: „Hanno! wola, czy niewola?” Hanna zapłoniona chowa oblicze w rączki i mówi, że jest branką bojową Trojdena, niech więc stanie się zadość chęciom obojga książąt.

„Kłękła przed matką i płakać poczęła,
A przez jej oczka prześwieca się radość...”

W postaci Hanny dał nam Syrokomla piękny i sympatyczny nadzwyczaj typ polskiej niewiasty z przed kilku wieków.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kazimierz Głiński.

KRZYWDA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg.)

VI.

Bracia i obawa skandalu.

Hipolit chodził wzdłuż gabinetu, Henryk uważnie rozglądał się do koła.

— Ty tutaj śpisz? — zapytał, wskazując na łóżko, twardym materacem zasłane.

— Tak! — odpowiedział Hipolit.

Henryk ręką dotknął pościeli.

— Do licha! trzeba żelazne mieć kości, ażeby móżdż tak spać.

— Przyzwyczaiłem się, — odparł Hipolit.

— Czy czasami ty mi tej sofie nie odstąpiłeś? — pytał Henryk, dotykając z kolei sprzęt miękkiej dla siebie przeznaczony.

— Nie sypiam na niej nigdy.

— Ho—ho!... — mówił Henryk, — pocziwa matczka swoje poduszki mi dała, prześcierała wełnowe i koldrę puchową... Faradnie! — dodał, zanurzając się w miękką pościel. Po chwili zapytał:

— O której wstajesz, Hipolicie?

— O piątej —

— Jesienią nawet?

— Zawsze — bez względu na porę roku.

— A kładziesz się?

— O jedynastej — rzadko później.

— Sześć godzin snu — mruknął Henryk. — Toż to, do licha, okrutnie mało, — zawołał siadając na pościeli.

— Przyzwyczaiłem się i do tego, — odpowiedział Hipolit.

Usiadł naprzeciw brata, pykając z fajeczki. Pan Henryk lekko poruszył głową.

— Jak my się mało znamy, — szepnął. — Nie wiedziałem nic nawet o twoim trybie życia. Zmizerniałeś, zeszczipiałeś, a wyraz twarzy masz taki, jakby na niej nigdy uśmiech nie powstał. Nie widziałem ciebie od dawna... od bardzo dawna —

Podniósł się, pocałował brata i dodał:

— Idź spać!... Gawędziłbym z tobą choćby do rana, lecz żal mi ciebie.

— Co znowu! — uśmiechnął się Hipolit. — Jeżeli nie jesteś znużony, to nie przerywajmy zaczętej rozmowy; milszą mi ona od snu, który niczem innem nie jest, jak częstką śmierci. Wolę żyć, niż umrzeć, choćby na godzin sześć tylko.

— Widzę, — zawołał Henryk, — że jeszcze nie jesteś desperatem, za jakiego ciebie brałem. A więc przyznaj się, — ciągnął, kładąc rękę na ramieniu brata, — czy żadna miłość nie zajęła ci drogi wypadkiem?

— Nic o niej nie wiem, — odpowiedział Hipolit.

— Wyglądasz mi dziwnie jakoś kwaśno —

— Nie pierwszy ty to mówisz.

— Jakaż przyczyna?

— Samotność, — rzekł Hipolit, — te cztery ściany tylko i miesiące całe nieprzerwanego niczem milczenia.

— Nie widzisz — że się codziennie z mamą?

— Nie.

— Dla czego?

— Dajmy pokój temu, — rzekł Hipolit, puszczać duży kłęb dymu, który szarym obłokiem twarz jego zasłonił.

Henryk zakolysał się, pochylił głowę i czoło potarł.

— Powiedz mi co o swojej narzeczonej, — odezwał się po chwili Hipolit.

— Nie ciekawy przedmiot...

— Jaktó?

— Miłości tam wielkiej nie ma, choć niby podobaliśmy się sobie wzajemnie. Panna Teofila jest przystojna osobka, malutka, czarna jak pieprzek, z płonącymi jak żar oczyma — w ogóle, jak to mówią, z temperamentem niewiastki i niejednemu młodzikowi głowę zawróciłaby mogła, ale nie mnie, który... Wiesz zresztą, anachorety życia nie prowadziłem i poderwałem się trochę. A że czas się usatkwować...

— Bierzesz niewiastę z temperamentem.

— W ślimakach nie gustowałem nigdy, — podchwycił Henryk. — Zresztą nie jej do zarzucenia nie mam, w Galicyi słynie ród Krukowskich, a dwakroć...?

— Nie bardzo to ci potrzebne —

— Gadaj zdrow, panie bracie! — westchnął Henryk.

Zaciągnął się papierosem i kilka misternych kółek w górę puścił.

— Już jest niedobrze, — rzekł nagle, — gdy w tym roku dług pierwszy zaciągnąć muszę.

— To dziwne! — szepnął Hipolit. — Ja w tym roku ostatni właśnie dług spłaciłem.

— Ty! ty podziwu wart jesteś, Hipolicie! Nie moje to słowa, ale wszystkich tych, którzy bliżej przypatrywali się twojej pracy. Podział majątkowy między nami dokonany był arcyniesprawiedliwie. Grudów z Piaskami, z Górkami zaś Dziadyszki powinny iść w parze. Mam na sumieniu, że nie sprzeciwiłem się wyborowi twojemu.

— Czy moje folwarki są gorsze od twoich? — zapytał Hipolit.

— Ba — teraz! — zawołał Henryk —

— Nie ma więc o czem mówić.

— A tyle lat pracy i zaniedbywania się? Wyglądasz, jak cygan!

— Niel... jak człowiek, który zadanie swoje wykonał.

— I jeszcze cały ciężar utrzymania matki na siebie wziął...

— Czy matka może być ciężarem? — przerwał Hipolit.

— Samotność... cztery ściany... długie miesiące milczenia, — mówił Henryk. — Czy ty myślisz, że ja nie nie rozumiem?

Hipolit wargi do krwi przygryzł, w milczeniu wyciągnął rękę do brata i uściśnął go mocno.

— Nie jestem już samotny, — rzekł.

— Za jaki tydzień zabieram mamę do Lwowa — mówił Henryk. — Musi poznać synową przyszłą. Ślub nasz ma się odbyć w pierwszych dniach karnawału, później — według projektu panny Teofili — jedziemy do Włoch. Na to wszystko pieniądze mieć muszę, a że i mamie wypadnie coś dać...

Podrapał się w głowę.

— Winienes jej nawet za lat kilka pieniądza,—rzekł Hipolit.

— Szelma jestem! — zawołał Henryk, wstając. — Ale widząc, że tu u ciebie mamie, jak u Pana Boga za piecem, tembardziej, gdy się nie upomniała ani razu — z dnia na dzień, z godziny na godzinę odkładałem i tak... z pięć tysięcy coś rubli zebrało się.

— Sumka! — cmoknął Hipolit.

— Ale mama nie upomni się — jestem pewny — ty zaś dziś lepiej odemnie masz się... Lecz odbiegłem od przedmiotu... Jedź z nami do Lwowa.

Hipolit przecząco poruszył głowę.

— Ale na słubie będziesz?

Hipolit milczał.

— Oczywiście, że będziesz! — powtórzył Henryk.

— I co wam z tego przyjdzie? — odezwał się po chwili Hipolit. — Czy mniej szczerze życzenia przesłę? czy więcej wam radości przybyciem swoim sprawię... Odwykłem od świata, od ludzi, a zresztą... mam wydatki tak ograniczone, że po zapłaceniu ostatniego długu, muszę cicho, jak mysz w norze siedzieć, by koniec z końcem związać, nim zbiór nowy da — nie wiadomo jaki jeszcze — rezultat. Jak ekonom wyglądałbym tam, wśród was, a nie chciałbym się na śmieszność narażać. Szczerze ci mówię, Henryku! Zasięgnij zresztą rady matki a i ona to samo ci powie.

Henryk mimowoli zmierzył brata od stóp do głowy.

— I co? — zaśmiał się Hipolit.

— E! zawsze Grudowski!

— Przyjedziecie, — ciągnął dalej Hipolit, — a wtedy poznam was i — lepiej tak będzie!

— Pogadamy jeszcze o tem, pogadamy, — rzekł Henryk.

Uścisnęli się serdecznie, a że już była godzina spóźniona, do snu się ułożyli.

Henryk spał, gdy Hipolita zbudziło pięciokrotne wołanie kukulki. Ubrał się cicho, wziął klucze i wyszedł na palcach, by brata nie budzić.

Pan Henryk obudził się około południa — matka czekała go z kawą.

— I cóż tam? — spytała, podając sucharki synowi.

Henryk wspomniał o uporze Hipolita w sprawie wyjazdu.

— Nie namawiaj, — szepnęła pani Karolina.

— Dla czego, mam?

— Przypatrz się mu lepiej.

— Rzeczywiście, — rzekł Henryk, — Hipolit trochę za ordynarnie wygląda. Stał się odludkiem, choć on zawsze, o ile sięgnę pamięcią, miał jakieś dziwne usposobienie. Warto by go ożenić.

— Cicho z tem! — dłoń podnosząc rzekła pani Januszowa, a nie chcąc wyrażnie swych myśli wypowiedzieć przed synem, dodała z powagą:

— Znam lepiej ludzi, niż ty. Mieszkając zaś lat tyle z Hipolitem pod dachem jednym, nie pragnęłabym ażeby wchodził w związki małżeńskie. Hipolit nie należy do tych, którzy żywsze uczucie w sercach kobiet wzbudzić mogą. Niejednaby wyszła za niego dla wzrastającej wciąż fortuny, ale dobrobyt nie jest jeszcze zapewnieniem sumiennego spełnienia obowiązków żony... Lękam się skandalu, — dodała po chwili.

— Mam — takie przypuszczenie! — oburzył się Henryk.

— Oparte na znajomości uczuć kobiecych, — dokończyła pani Karolina. — Zastanów się tylko, czy Hipolit jest stworzony na męża? Kobieta ze sfer wyższych (a o takiej tylko myśleć mogę) potrzebuje tkiwości, obchodzenia się delikatnego, jak kwiat o listkach aksamitnych — pieszczoł i pocałunków. Przedstaw sobie teraz Hipolita w roli takiej! Ta twarz poczerwiała, ręce zgrubiałe, paznogie rozplaskane... (Pan Henryk w tej chwili spojrzał na swoje wypięszone paznogie)... czy nie wzbudzą odrazy w kobiecie przywykłej do wykintu i piękna? Niechże się ktośkolwiek z boku nadarzy, serdeczniejszym ciepłem wionie — co wtedy? Męża prostaka zastąpi kochanek wybrany... a syn Wapowskiej, Grudowskich potomek plamy by takiej nie przeżył.

Hipolit ma rozum i dla tego odsunął się od świata; grzechem jest podsuwać mu pokusy.

Henryk nie odpowiadał nic, przyznawał jednak w części słusność matce. Nie rozumiał nieuparfumowanej miłości, a pan Hipolit żadnych perfum nie używał. Delikatne powonienie pana Henryka zachwyciło, gdy rozmawiał z bratem, zapach obór, a to oczywiście wzbudza tylko wstręt w kobiecie. Możliwy skandal, o jakim wspomniała pani Karolina, byłby wieczną plamą na nieskalanym dotąd rodzie Grudowskich.

— Mama ma słusność, — szepnął, pochylając się do ręki matki. — Znam niejednego wypadek, w którym przyczyną złego pożycia małżonków, było zaniedbanie stroju przez mężczyznę. Pewnego malarza porzuciła żona, bo miał ubranie przeziębione zawsze zapachem terpentyny i oleju; inny znów, odgrywając rolę zapoznanego wiejsza, nie czesał się nigdy. Ja sam nawet — przyznam się w pokorze ducha mateczce — musiałem pocieszać pewną miłą osóbkę, której małżonek od rana do wieczora pilnował parobków w polu, sam musiał być wszędzie, by końca z końcami związać, a powracając do domu, sapał jak miech kowalski i rozmazywał po twarzy pot kroplisty, oczekujący mu z czoła. Brrr!... jak on stajnią pachniał.

— A widzisz! — zawołała pani Grudowska.

— Namęczywszy się tak od świtu do nocy szedł spać i chrapał, jak niedźwiedź —

— A widzisz! — powtórzyła, donośniej tylko pani Karolina.

— Rozumiem więc, mateczko, że ta twarz zczerniała i popekana od słońca, ten pot ohydny i to sapanie niedźwiedzie, nie mogły zastąpić słowiczych gruchań i westchnień zefirowych.

— To bardzo naturalne, — rzekła pani Karolina. — Przedstawiwszy teraz obraz Hipolita, nie chciej, ażebyś kiedyś boleć nad nim miała.

Umilkła w pół słowa, bo właśnie omawiany w drzwiach stanął.

— A — dzień dobry! — odezwała się Grudowska.

— Dzień dobry, mamie!

Pochylił się i pocałował w rękę.

Pani Karolina odwróciła się nagle, wzięła z toalety bańkę rafreszysera i rozpryskanym na pył drobnym strumieniem kolońskiej wody, skropiła całego pana Hipolita.

— Co to za święto? — zaśmiał się Hipolit.

— Napewno wracasz ze stajni, — rzekł Henryk.

— Niestety! tam nie masz arabskich kadzidel, — odpowiedział Hipolit lekko brwi marszcząc.

Nie było już mowy o wyjeździe starszego syna pani Karoliny, Henryk też nie wspominał o nim nie bratu, który widział w tem milczeniu skutecznym narad z matką, uśmiechnął się smutnie i nie powracał już do pograżonego w zapomnienie projektu.

W dniu ósmym Października, w święto Brygitty, zajęła przed ganek mieszkania pani Karoliny sześciokonna kareta a za nią wtoczył się wóz drabiniasty, na który miano ładować rzeczy przeznaczone do podróży. Wynoszono kufrzy i paki, zawinięcia jakieś, pudła i pudełka. P. Maryanna była w ruchuciągłym, raz wraz wybiegała z domu to wbiegała napowrót, nieustannie słyszało się jej dyszkant garderobiany, którym wydawała rozkazy, kręcąc się jak w ukropie France. W przeddzień wyjazdu, pani Karolina była na Mszy Świętej w kościele parafialnym w Grudowie, spowiadała się u wikarego, komunikował ją proboszcz — w dzień zaś wyjazdu wezwała do siebie starszego syna i przeżegnała malutkim, złotym krzyżykiem, zawieszonym u piersi.

Było to pierwsze błogosławieństwo, które dziwnie rozrzewniło Hipolita. Przytulił drżące usta do ręki matki i trzykrotnie ucałował. Henryk niemył świadkiem był tej sceny i — przypomniał sobie wczorajsze słowa brata o samotności, ścianach milczących, miesiącami całymi trwającym milczeniu — dziwił się im teraz, o pewną przesadę posądzając Hipolita.

— Pracuj synu, — mówiła podniosłe Grudowska, — a nie myśl o żadnych Matyldach.

Gdy miała już wsiadać do powozu, Hipolit zbliżył się i wyjmując z zanadru paczkę, podał ją matce.

— Co to takiego? — spytała.

— Pieniądze mamy.

Lekki rumieniec zabarwił policzki pani Karoliny.

— Zdaje się, że termin wypłaty dnia pierwszego Stycznia przypada?

— Urzędowy, mam, że się tak wyrażę; moralny — dziś, gdy ci pieniądze być mogą potrzebne.

Henryk chwycił brata w ramiona.

— Zawstydzasz mnie, niecnoto! — szepnął do ucha.

— Ja tylko robię co do mnie należy, — odpowiedział Hipolit.

Do powozu wsiadła pani Karolina, za nią Henryk a następnie Maryanna zbliżyła się do drzwi karety.

Hipolit uśmiechnął się.

— To i panna Maryanna do Lwowa?

— A jużci! — burknęła opryskliwie.

— Bardzo dobrze, że się panna trochę przewietrzy, bo może coś i z głowy wywietrzy, — dodał Hipolit.

— Ot, werażenie się, — zawołała powiernica pani Karoliny, siadając z gniewem na przednim siedzeniu karety.

— Do widzenia, Hipku!... — rzekł Henryk. — Jazda! — zwrócił się do stangreta.

Woznica palnął z bata raz i drugi i kareta potoczyła się gościńcem, wiodącym do dworca kolei o mil trzy oddalonego od Górek.

(Dalszy ciąg nastąpi)

LIST Z KRAKOWA.

W Styczniu.

Przed kilku tygodniami odbyło się w uniwersytecie naszym uroczyste odsłonięcie popiersia Mickiewicza. Zebrało się tedy całe premium rektorsko-profesorskie w togach i gronostajach, oraz zastępy młodzieży. Przemawiali starsi, przemawiali młodszy, usiłując o ile możności powiedzieć coś nowego i ładnego na ten temat.

Samo popiersie z brązu według pięknej dzieła Guyskiego wykonane, przedstawia się szlachetnie i sympatycznie; umieszczone jest w niszy, na kurytarzu pierwszego piętra, w obramieniu renesansowej ornamentacji której jest dość pospolite, ale nie brzydkie i nie psuje wrażenia całości. Krużganki uniwersyteckie zawsze piękne, zwłaszcza o zmroku, gdy zapalające się kolejno płomienie gazowe rzucają drżące blaski pod gotyckie arkady.

Sezon koncertowy zaczyna się ożywiać: oprócz stałych koncertów „historycznych“ Towarzystwa Muzycznego, mieliśmy Melcera, który wykonaniem swego. (na konkursie nagrodzonego) „Koncertu“ na fortepian z orkiestrą zrobił nader sympatyczne wrażenie.

Później znów Śliwiński, ulubieniec elegancji publiczności zbierał po dwakroć oklaski w sali, gdzie się zgromadziło nieliczne, ale dobrane grono. Ogólne zajęcie obudził, ma się rozumieć, zapowiedziany w tych dniach występ Michałowski, a bilety rozebrane już skwapliwie.

Karnawał nieśmiało się rozwija, bo mu dano do zrozumienia, że wskutek żałoby po Cesarzowej będzie musiał być cichy i niegwarny. Na razie inicjatywę w zabawie wzięły z zapalem pierwszej młodości słuchaczki „Kursów im. Barańskiego“, urządzając w połowie Stycznia raut z loteryą i niespodzianką... taneczną.

Ale nie wystarcza nam myślenie o rozrywkach i kształceniu panienek „kapeluszkowych.“

Założone przed dwoma blisko laty stowarzyszenie: „Opieka nad pracownikami,” mimo szczupłych bardzo środków, jakimi rozporządza, rozwija się dzielnie. Gromadzi ono w każde niedzielne popołudnie około stu dziewcząt w wieku od dwunastu do dwudziestu lat mniej więcej, pracujących przez cały tydzień po fabrykach. Oprócz nauk udzielanej w dobach o ile możności nieuciążliwych przez dwie godziny, znajdują one w „Opiece” podwieczorek i wspólną zabawę, przeplataną śpiewem i tańcami. Na gwiazdkę zebrało się ich sto z górą i posutym podwieczorku, urządzonym przez panie opiekunki, najlepsze i najstarsze z dziewcząt przychodzących do „Opieki” brały udział w losowaniu nagród. Dzięki hojności zacnej filantropki, pani W. znalazły się trzy nagrody po 50 złr. na kupno maszyny do szycia lub czegoś równie użytecznego, oraz sztuka płótna na czwartą nagrodę.

Inne znów warstwy niezamożnej ludności mają użyteczne przepędzenie czasu na wykładach popularnych bezpłatnych, a urządzanych w świąteczne popołudnia staraniem Towarzystwa oświaty ludowej. Całe serye tanich niezmiernie, a mądrze ugrupowanych odczytów obmyślił znów i urządza Tow. Szk. lud. w wieczornych godzinach. Słowem, uczyć się u nas można dużo i tanio; szkoda, że o jedzeniu tego samego powiedzieć niepodobna!

W sferach wyższych trwają swoim porządkiem posiedzenia i zgromadzenia wszelkich towarzystw naukowych, filologiczno-przyrodniczo-psychologiczno-historyczno-pedagogiczne i t. p. i t. p., w które nasz mały Kraków obfituje, jak rzadko które miasto. Bardziej zaś lotne i mniej specjalne Koło artystyczne ze Związkiem literackim połączone zasymilowało przy końcu staro roku całe grono pań, które, jest nadzieja, że się staną promieniami tego koła.

Al. Św.

Z RZYMU.

W końcu Stycznia.

Znana to rzecz, iż żadne miasto w Europie nie ma tak kosmopolitycznego charakteru, jak stary Rzym. Zewsząd dążą tu cudzoziemcy; na ulicy, w kawiarniach, można co chwilę inny słyszeć język, co chwilę inne oglądać typy. A dwie głównie przyczyny ściągają obcych do wiecznego miasta: Watykan i zabytki przeszłości. Obok pobożnych pielgrzymów uczeni z całego świata dążą do Watykanu, by w olbrzymich zbiorach archiwum papieskiego i bibliotek szukać ułamków historii narodów, które przez tak długi czas uważały Rzym za centrum świata. Z drugiej zaś strony spotyka tu się setki archeologów, artystów i tak zw. stranierów, którzy dla jednego przybywają tu celu, by poznać piękności, jakie zostawiła po sobie w spadku daleka przeszłość, by badać je okiem uczonego lub oglądać przy najmniej z Bädckerem w rękę.

A właśnie coraz więcej teraz przybywa Rzymowi zabytków i to z epok, od których nas dzieli już dziesiątki stuleci. Główną kopalnią jest stare „forum romanum.” Przez czas długi obawiano się sięgnąć głębiej, zadawalniano się tem, co dotąd odkopano. Minister robót publicznych Baccelli powziął plan śmiały, by zacząć kopać w głąb, w tej myśli, że to, co dziś forum przedstawia, nie jest jego najdawniejszą formą, że niżej znajdują się szczątki jeszcze dawniejszych zabytków. Obok kilku drobniejszych odkryć niedawno dokonano jednego większego, Koło łuku Septyma Sewera odkopano kawał gruntu, pokryty czarnym kamieniem, które to miejsce, jak twierdzi wielu (choć napotykać na opozycję) uchodziło w Rzymie za grób Romulusa. W dniach zaś ostatnich znów natrafiano na inny zabytek, który sięga epoki re-

publiki, na kamienne ogrodzenie jakiegoś świętego miejsca z napisami. Cały szereg powag z zakresu archeologii zwiedza te wykopaliska, by zbadać ich wiek i znaczenie.

Teatrów Rzymowi nie brak. Główną teraz atrakcją jest znany aktor włoski Ermetti Novelli. Już miesiąc prawie gra w niedużym, ale ładnym teatrze Valle, ściągając bez przerwy publiczność, która frenetycznymi oklaskami wita grę znakomitego artysty. Naturalność w grze, doskonała charakterystyka roli, zasługują rzeczywiście na podziw. Lecz Włosi nie mają dość zmysłu krytycznego. Zachwyceni jego grą, nie widzą, że nie we wszystkich rolach równie jest panem sytuacji. Hamlet, w którym niedawno wystąpił po raz pierwszy, zawiódł bardzo nasze oczekiwania. Za to w komedjach jest świetny. W uznaniu talentu nadał mu król godność „grande ufficiale della corona d'Italia.”

Zapóźnie już trochę pisać teraz o nowościach muzycznych, które Rzym słyszał w ostatnich miesiącach przeszłego roku o „Iris” Mascagniego i o dwóch oratoryach młodego kompozytora, Wawrzyna Perosiego, który temi dziełami zyskał sobie rozgłos olbrzymi. Papież mianował go nawet dyrektorem kapeli kaplicy sykstyńskiej. Teraz oczekują tu premiery nowej opery: „Il trillo del diavolo,” Stanisława Falchi'ego. Wielkich jednak nadziei nie przywiązują do wystawienia tego nowego dzieła. Libretto osnute jest na tle znanej tradycji o skrzypku Partinim, który sprzedał swą duszę dyabłu za to, by mu pomógł w tworzeniu. Odegrany przez dyabła utwór dał mu asumpt do napisania jego sławnej dyabelskiej sonaty. A więc zobaczymy!

Z Watykanu nowin nie wiele. Papież mimo lat 88-miu nie uchyla się od obowiązków, jakie na niego wkłada przewodnictwo Kościoła. Stosownie do tradycji przyjmował niedawno na audyencji szlachtę rzymską. Przed rokiem 1870 mogli brać w tej audyencji udział tylko patrycyusze rzymscy, mianowicie członkowie rodzin, wpisanych w księgę złotą Rzymu, i familiet. zw. coscritte, które mogły za czasów Benedykta XIV-go wykazać, iż przodkowie ich tak z linii męskiej jak żeńskiej od lat dwustu należeli do szlachty. Dziś już nie zważają tak ściśle na tę etykietę. Odpowiedź Papieża na przemowę księcia Colonna odczytał jeden z prałatów papieskich.

Dnia 4-go Kwietnia zbierze się w Rzymie szósty międzynarodowy kongres prasy, który według dotychczasowych obliczeń, potrwa cztery dni, poczem przybyli z różnych stron świata dziennikarze odbędą wspólną wycieczkę do Neapolu i Pompei. Pomiędzy innemi, będzie wielkie przyjęcie w wspaniałym klubie prasy na placu Colonna i wieczór dla dziennikarzy, dany przez miasto w salach Kapitolu. Będzie to jedna z rzadkich sposobności oglądania rozmaitych Wener kapitolinich, gladiatorów i Cezarów, w oświetleniu elektrycznym, które nadzwyczajnie podnosi urok tych arcydzieł.

W sprawie obrazów po ś. p. hr. Sumińskim pisze p. Darowski: W willi swojej, zbudowanej w stylu maurytańskim w Tharanotcie, o trzy kwadransy koleją z Drezną, umarł niedawno ś. p. hr. Michał Leszczyce-Sumiński, który pozostawił bogaty zbiór obrazów, coś około trzystu pięćdziesięciu. Co prawda, większa część tych płócien nosi szumne firmy: Rafaela, Corregia, Guido Reniego, Tycjana, Leonarda da Vinci, albo też Murilla, Velasqueza i t. d. Co o t. zw. Rafaelach, dotychczas nieznanach, sądzić należy, łatwo każdy się domysli. Przecież i w Warszawie znajdują się w prywatnych rękach t. zwane „Rafaele,” którychby się wielki Sanzio ze zgrozą wyparł. W r. z. urządzono w Urbino, mieście rodzinnem Rafaela, wystawę specjalnie poświęconą temu mistrzowi, któremu wystawiono pomnik. Przy tej sposobności wystrzeliło z rozmaitych stron świata pięć czy sześć nieznanach obrazów, przypisywanych mistrzowi z Urbino, ale ani jednego nie uznano za prawdziwy. Co najwyżej, były to obrazy z jego szkoły, albo też dobre, stare kopie.

Ale pomiędzy obrazami hr. M. Sumińskiego ma znajdować się jedenaście obrazów Corregia!

Gdyby choć jedno z tych płócien było rzeczywiście oryginalnem, byłoby to już bardzo wiele! A nawet sławna, pokutująca Magdalena w dreźnieńskiej galeryi, nie jest uznana za dzieło tego malarza. Dla reklamy rozpuszczono tutaj ogłoskę, jakoby hr. Sumiński nabył kilka Corregiów i Murillów od Piusa IX w chwili, kiedy Włosi wchodzili do Rzymu w r. 1870. Pius IX miał niby pozwolić, aby niektóre klasztory, z obawy przed zaborem, spieniężyły pośpiesznie swoje artystyczne skarby. Wszystko to jest kłamstwem. Hr. Sumiński bywał w Rzymie, miał nawet tytuł hrabiowski nadany przez Piusa IX-go, kupował obrazy, ale z rąk prywatnych od handlarzy. Że niejedno cenne płótno się znajduje pomiędzy 350 obrazami, chcę wierzyć; ale jak zawsze, tak i tu należy być ostrożnym, gdyż dobre stare kopie zwykle uchodzą za oryginały.

A.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg).

XXX.

Moja edukacja.

W tej koteryi jaśniała blaskiem uroku pani Andrzejowa Mikorska, jedna z uznanych piękności Warszawy: poważna i wabna z pozoru, lekka i ujmująca z uczucia, łagodna żona z zasady, cudna tanecznica w salonie, a zawsze śliczna brunetka. I nasza Kasia z W. Mikorska, śliczna pomiędzy piękniejszymi była... młodość i przeczna świeżość twarzy, miękkość i delikatność kształtów i ruchów ciała, smak estetyczny w przyborach, czyniły ją podobną aniołom z siódmego nieba.

Pani kasztelanowa G., bardzo zręczna w postępowaniu, nazwała jedynaczkę mego ojca „une brune piquante”—i zadała mi pytanie, czylibym nie życzyła sobie być oddaną na pensję—i zwróciwszy się do mego ojca, zagadnęła go w tej mierze.

—Córka moja kończy lat 11, ma jeszcze rok jeden czasu—odparł mój ojciec—a jeżeli zdecyduję się na Warszawę, opieka tak godnej damy będzie mi rękojmnią pomyślnej edukacji.

Ale zaledwo goście rozjechali się, z oburzeniem odrzucił ojciec podaną myśl o pensji warszawskiej, a nadewszystko powstawał przeciw protektorce.

—Jabym miał—mówił on—oddać córkę w ręce osoby, co sama postępując wstecznie, naprowadziłaby ją na bezdroża, które kobiety naszej puszczają się stolicy? Pensje tam już są zarażone intrygami różnego rodzaju; nie widzę wychodzących elew, żeby je kształcono moralnie, praktycznie, naukowo. Wszystko na efekt wyrachowane. Pięknie się ubrać, doskonale tańczyć, zręcznie zaprezentować, trochę talenciku, dużo czezej gadatliwości, a wabność podstawą wszystkiego!... I toż to jest cel życia kobiety? Tak wychowana, będzież ona żoną, matką, gospodynią, panią i obywatelką? Będzież przygotowaną na wszystkie losy? Nie odgadnie kobieta swego przeznaczenia. Obmyślił ona sobie sama sposób utrzymania? Obierzeż zawód, aby w rozpoczętym kierunku podążać do celu? Powołaniem kobiety być żoną, matką. Więc wszystko zależy od zameżcia... Częstokroć nie ma wyboru—częściej jeszcze chybia w nim... Trudny też jest, gdy przychodzi wybierać pomiędzy przedstawiającymi się jednostkami. Zastanawiać się więc do położenia, charakteru i usposobienia obranego męża—jest wielką nauką kobiety. Dla tego wychowanie jej, tak ubogie

w umiejętności i nauki, nadewszystko z bogactwem być winno dobrze zrozumianą wytrwałością obok słodczy charakteru i jednostajności humoru.

Religia, będąc podstawą życia i pociechą w troskach jego, daje jej to namaszczenie, bez którego nie może stać się aniołem tej ziemi. Moralność ułatwi jej drogi, które ma postępować, wijąc się pomiędzy tym rojem urozmaiconym ludzi. Uczucie nieskalane nadaje jej instynkt niepojęty, prędko—co go taktem zowią; wskaże on zawady, otworzy przejścia i doprowadzi do chwalebego celu. Są to władze, które chciałbym w córce mojej widzieć rozwinięte. Tej cechy nie nada pozorne wychowanie, chociaż otoczy najwyższym urokiem piękna. Cóż pozostanie z tej wystawności, kiedy spłoszone uczuciem małżeństwem grono wielbicieli odstąpi... Kiedy nawet małżeńskie pieszczoty pierzną wśród tłumy ważniejszych spraw życia... kiedy choroby i pochod czasu zniweczą wdzięki, a przymioty wywołane edukacją, opartą na wadności wystawie, staną się niepożytecznym, a nawet śmiesznie godnym narzędziem? Czemże pozostanie ta nieszczęśliwa istota w odosobnieniu dla siebie samej? Czcza i znudzona, udzieli swych niesmaków tym, co się do niej zbliża... zamrze wszystkiemu, skoro wiatr przeciwności zwieje z świętych jej motyli skrzydeł pył jasnych kolorów.

Wychowanie winno być treściwe. Mało umiejętności, ale dobrze pojętych, służących za podstawę do nabycia wiadomości w dalszym postępie kształcącego się umysłu. Silna pomoc darom przyrodzonym podana, oszczędzona na czasie i zachodach czynionych przez nauczycieli dla zniewolenia do pilności tam, gdzie natura odmówiła swej poręki. Wzbudzenie zamiłowania w pracach mechanicznych, tak niezbędnych potrzebom domowym, tak mile zapełniających chwile nawet wyższej zabawy umysłowej poświęcone, a uprzyjemniające swobody pogadanki familijnej.

Przekonanie, że tylko żyjąc dla pożytku społeczeństwa zyskamy w świecie stanowisko cziłgodne. Są to zasady, które powinny kierować postępowaniem mistrzów, a przy każdej sposobności być wskazane uczniom, aby poznawszy praktyczność pobieranych nauk, nie uwodzili się błędnem mniemaniem, zwłaszcza przy publicznych popisach powziętym, że je nabywają dla podziwiania świata. Próżność i chępliwość wiąże się łatwo do nieznanomości celu i staje się zaporą do dalszych postępów.

— Więc masz za nic pozory tyle potrzebne kobietom wyższego społeczeństwa? — zagadnęła szambelanowa.

— Przeciwnie — odpowiedział mój ojciec — przyzwyczajenie sama wymaga ich, ale nadejdzie dojrzałość, z nią chęć podobania się, a natenczas prędzej zapobiegać przesadzie: pokierować smakiem, przytłumić upodobanie do przyborów, aniżeli pobudzać chęci te wypada. Zręczność ruchowa przez naukę tańca nadana jest dostateczna, a skromne przedstawianie się młodej osoby jest jej zaletą. Ośmielona stopniowo, w miarę jak ją usposabia otaczające koło społeczeństwa, ani kogo zadziwi przedczesnym wykształceniem, ani zazdrości zbudzi, ani do obmowy nie da miejsca, — a tak, choć nie przywłaszczy sobie stanowiska, wolno utoruje dla siebie drogę, na którą powszechna przychylność ją wprowadza.

— Tym sposobem przypiszą rodzicom niedbałość o ukształcenie córki dla towarzystwa i osądzą, że przez nie nie nabrała form.

— Matka — odrzekł szambelan — co wychowała córkę pobożną i wstydlivą, nauczyła ją pracy i dała podstawę umiejętności niezbędnych w jej stanowisku, — dozwala się rozwijać jej umysłowi w miarę potrzeb i zdolności, a wprowadza ją z wszelką godnością w życie praktyczne, dopełnia ściśle swego obowiązku. Świat niech jej nada formy... los uzupełni resztę. Ja oddam Adaminę moją do Berlina, obiorę najlepszą pensję, bo chcę z niej mieć kobietę porządną, niezazarganą elegantkę, ani zaniedbaną filozofkę, jakich mamy tak wiele.

Wzruszyła prawem ramieniem szambelanowa, pociągnęła nosa — był to znak niezadowolnienia;

może w tem uważała przymówkę do jej córek, ale tak nie było. Szambelan cenil starszą pasierbicę, młodszą tolerował, bo był pobleżającym.

Pomiędzy tą rozmową a berlińską pensją ubiegł rok jeden, a w tym przeciągu czasu wiele się zmieniło.

Panna Józefa miała dwóch konkurentów. Jeden był Ksawery Bronikowski z Leśnicy, krewny szambelana, drugi Antoni Kurnatowski, syn starosty z Wrotkowa. Major Chlebowski, oburzony niesmakami, jakich doznawał od szambelanowej, odkąd poznała miłość wzajemną dla Józji, opuścił był dom, — korespondowano tajemnie. Matka doszła tej tajemnicy — skazała listy miłosne na auto-da-fe — i spłonęły wraz z temi, które major za wezwaniem kochanki odesłał. Uleciały z dymem westchnienia i przysięgi, a Antos zajął opuszczone miejsce w jej sercu. Był piękny jak Antinous, mówił wysokim dyalektem, wspaniały i rozrzućny jak Radziwiłł Pannie Kochanku, miał szczupłą fortunę, a raczej stracił ją. Ale mu zostały pozory wielkości i uchodził w oczach Józji za to, czem być chciał i śmiał. Miłość jego nie była czysto interesowna; on kochał się szczerze w tej niezrównanej Józji i umiał ją cenić. Niepomni na wymagania matki, poili się słodkim urojeniem, a może i rzeczywistością tego uczucia.

Tymczasem przybyli w oświadczy Hyacynthostwo Zakrzewscy. Bez ogródki odmówiono ręki panny Józefy Kurnatowskiemu. Znać przysposobieni byli na ten wypadek — tej samej nocy już upakowaną garderobę Józji wyniesiono tajemnie do stancyi ekonoma. Zabrawszy cokolwiek rzeczy i pannę Głewiszównę do usług, wyjechała z Antonim, nie pożegnawszy nikogo, oprócz mnie, która nie śpiąc, spłakałam się. To się nazywało wykradzenie. Nie mogło się pomieścić żadną miarą w dziecinnej mej głowie — jakby to kraść osobę co dobrowolnie wyjeżdża w tak miłym towarzystwie, bo lubiłam Ant. Kur. Był piękny, grzeczny i obficie nas wszystkich częstował najwytworniejszemi łakociami.

Bogaty Ksawery Bronikowski był nie młody, nie ładny, sztywny, pedant... podobno miał wiele nauki, ale żadnej uprzejmości. Józja była niewdzięczna, bo on chciał fortunę i rozum swój złożyć u jej swawolnych nówek, a ona psociła mu za to. Raz chodziliśmy około obszernego stawu, otoczonego lekką poręczą. Nie wiem co za natchnienie czerpał pan Ksawery w tej stojącej wodzie, ale bardzo czule spoglądał na ulubioną i cicho przemawiał do ucha Józji. Głos ten znać nie przenikł do serca, bo Józja skoczyła na poręcz i spojrzała na niego wyzywającym wzrokiem. Biedny filozof naśladował skok, kilka kroków uszedł z wielkiem wyteżeniem, bo twarz jego z pod jasno-żółtych włosów zarumieniała się najpiękniejszym karmazynem, ale wkrótce straciwszy równowagę, zsunął się zawczasu z niebezpiecznej przeprawy, żeby nie przypłacić upadkiem tryumfu wesołej Józji. Ona biegnąc wciąż, zostawiła Ksawerego z niedokończonym okresem mowy, która miała stanowić o losie życia jego. Odtąd przestał bywać.

Nazajutrz po wykradzeniu sądny dzień rozpoczął się.

Dopytywania, ściganie na wszystkie strony, i mnie nie pominięto... umiałam już zachować sekret, a Józja była mem bożyszczem. Pani Karczewska, guwernantka, co brała piękne podarki od szchedrego Ant. K., bardzo wygodnie zasypiała, kiedy jego wieczorne wizyty przedłużały się — i w ten dzień chrapała mocniej niż zwykle, nie spodziewając się takiego wypadku. Za to też natychmiast odprawiona została.

Brat mój był w korpusie kadetów w Kaliszu, a mnie odwieziono do państwa Trembińskich, którzy mieli córkę i dla niej tak nazwaną guwernantkę. Państwo Trembińscy byli zastawnikami w dobrach mej macochy Sławoszewie, o mil dwie od Marszewa. On ubierał się po staropolsku, był wysoki, chudy, cery żółto-brunatnej, czarne miał włosy jak węgiel, nos długi, przygarbiony; czuwał nad gospodarstwem, a w chwilach wolnych czytywał żywoty świętych i wier-

sze Kochanowskiego, a że był chorowity, więc często powtarzał: „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz.“ Pani domu średniego wieku jak i mąż, ubierała się wygodnie, czysto i starannie, trudniła się szczerze zarządem, była pobożna, wcale nie czytała oprócz książki do nabożeństwa i nigdy żadnej roboty w ręku jej nie widziałam. Za to lubiła o pewnych godzinach dnia wódeczkę z przekąskami, którą i swą jedenastoletnią jedyną córeczkę częstowała, równie jak i tabaczką, którą obie zażywały. Córka z postaci, rysów i cery podobna ojcu, szepleniła jak matka. Obojgu podchlebiła, za to też od rodziców była kochaną. Matka sprawiała sukienki i stroje, ojciec rozplwał się przy każdym postępie jej nauk i gotował jej znaczny posag. Ale Elżbietka nie czyniła postępów w miarę uniesień ojcowskich; te wybiegały zawsze nad sferę jej pojętności i nauki. Towarzystwo ich było na tej samej stopie.

Pani sędzina B., wdowa, — szanując pamięć nieboszczyka męża, wystawiła piękny kościół w swych dobrach, Brzezynie, gdzie był pochowany. Mówiono, że ta fundacja powstała w skutek ostatniej spowiedzi sędziego, któremu rozmaite krzywe zarzucano sądy. Może nie słuszne było. Działwa pani sędziny nie udała się.

Pani Tr. zmieniała humor po śniadaniu, zrędziła ze sługami, a pewnego razu, kiedy panna Skrzetuska, siostra najznakomitszego mówcy kościelnego z owych czasów (1801), u niej w usługach będąca, zakatarzona, niewyraźnie jej na zapytanie odpowiedziała, podniosła pani głos:

— Co ci jest?

— Katar mam.

— Katar? To ja mogę mieć katar, a ty tylko sapichę! sapichę! sapichę! — a za każdym wykrzyknikiem padały głośne policzkowania w przyległym pokoju na twarz nieszczęśliwej panny Skrzetuskiej, którą jej brat niemal w opiece pani B. zostawił. Tak się u tej damy objawiała arystokracja domowa, bo pod względem rodowej sługa pani nic nie ustępowała.

Ale ten wizerunek nie był jeszcze nadzwyczajnością w tej epoce, która tak blisko następowała po owej, gdzie ojciec syna, opiekun pupila w świat wyprawiając, obok błogosławieństwa i wsparcia, wyliczał dobry poczet nahajów, wydzielonych po szlachecku na kobiercu, dla większego wrażenia przy rozpoczętym zawodzie. Takim sposobem utwierdzano w pamięci młodych oznaczenie kopców granicznych pomiędzy dziedzicami.

Około roku 1835-go pamiętam ostatni taki upominek, dany przez generała Augustyna S. własnemu jedynemu synowi, chłopcu 10-letniemu, na kopcu pomiędzy dobrami izbiickimi i Sosnową Wolą, wtenczas do familii Moszczeńskich należąca. Wkrótce potem generał Sł. zginął z ręki nieznajomej, zastrzelony przez okno wieczorem w własnym swym pałacu w Lubrańcu. Nigdy nie wysledzono zbrodniarza pomimo najusilniejszego dochodzenia, a syn jedynak młodo, bo ledwie w 15 roku życia swego umarł z nieuleczalnego pomieszenia zmysłów.

Została wdowa i dwie córki z ogromnym majątkiem. Matka surowo się z niemi obchodziła i szczerólniejsze miała charakterystyczne słabości. Urodziła się z jedną nogą krótszą od drugiej. Matka jej kasztelanowa Zbońska, kobieta światła i poważna, nie dała jej uczyć tańca i wydała ją za mąż za bogatego acz niemłodego starostę Kretkowskiego. Nierada temu zamezciu, po śmierci matki rozwiodła się. Wrócił w 1815 po ukończonej wojnie sasiad generał pospolitego ruszenia S. — tytuł sprzyjał mu — zbliżenie do osoby Napoleona w stopniu adjutanta, uświetniło jego imię, miał piękne pozory — mało majątku, ranga upadła przy rozpuszczeniu wojsk, przypadł do serca rozwódce, oddał mu rękę i majątek. On też był zaradny, determinowany i sprężysty. To przez zachody gospodarskie, i spekulacje, to pieniactwem, nadużywając wpły-

wów i szczeroty, rozprzestrzenił niewypowiedziane pierwiastkowy swój i otrzymany za żoną majątek, tak że się stał najznakomitszym w Kujawach, złożony z miasteczek Lubrańca i Izbicy.

Zatargi wywołały zemstę, 11-cie kul utkwili w jego piersi i dziewięć dni męczył się z nimi, miał więc czas wspomnieć bieg życia swego. Czyli to uczynił—niepewno.

Po tym tragicznym skonie, skończywszy rok żałoby, w wieku już prawie podeszłym, wdowa generałowa zaczęła brać lekcje tańca. Dziwiono się temu, bo ani pierwszy, ani drugi mąż jej nie dawali zabaw tańczących, przeto nie wytańczyła się za młodu. Dla tego odtąd wszystkie zwiezdala bale, tańczyła na zabój, dawała zabawy z tańcami, ale córek nie przedstawiała w salonie. Skąpa i nieużyta—nikt nie cieszył się jej dobroczynnością,—dla córek brakło posagu.

Gubernantka panny Tr. nazywała się Skoraszewska, miała męża, starego wyjadacza, do niczego... Oboje przenieśli się do moich rodziców. Nauczycielka była nędzna z pani Sk., ale że pensya miała wszystko stanowić, wzięto ją więcej dla dozoru mojej osóbkę, aniżeli do udzielania nauk. Bigotka pierwszego rzędu, pani Sk. cały dzień zajęta była drobnymi czynami pobożności. Modły, posty, obchodzenie figur około wsi, strojenie obrazków świętych, tak były rozłożone, że na cały dzień wystarczało. Wierzyła w czary, pojawianie się duchów, w opętanych, a resztę czasu po paru godzinach nauki, opowiadała mi o klasztorze św. Jadwigi w Trzebnicy. Tak mi uroczysto wystawiała schronienie to pobożne, tak wymownie opisywała żywot dobroczynny i cudowny św. Królowej, że wzbudziła we mnie chęć zasypiania w kotarach błękitnych atłasowych ze złotem — w tem łóżku okrytem wspaniałe pyszną oponą—siennik i kamienne wezglowie podawały spoczynek zakonnic. Tylko mi się nie podobała trupia głowa naturalna, leżąca u stóp krucyfiksu na stoliku przy łóżu samotnej tej celi. Ale za to cieszyłam się na doroczne procesye, w których posąg świętej patronki, niesiony w pompie kościelnej, przybrany w książęce klejnoty i szaty, chylił prześliczną głowę na wszystkie strony, jakby ukłony czynił wiernym otaczającym go.

Życie zakonne utkwili mi w głowie. Pewnego poranku weszłam do gabinetu ojca mego i do nóg mu się rzuciłam.

— Czego chcesz, moje dziecko?

— Mój ojciec kochany! nie do Berlina na pensję, chciej mnie ojcuzko posłać do Trzebnicy, do klasztoru—ja chcę zostać zakonnicą.

— Ty? A kto ci o tym powiadał klasztorze?

— Pani Skoraszewska.

— Pomyśl o tem — rzekł mi, pogłaskał i rozśmiał się boleśnie; — idź sobie teraz, zabaw się, bo nie mam czasu.

Zaledwo wyszłam, zawołano pani Skoraszewskiej... Obliczył ją ojciec mój, zaszedł powóz i furmanka pod rzeczy — i wyjechali oboje, nie pożegnawszy się ze mną, tak ojciec chciał. Zapewne jej mąż żałował miejsca, bo mianowany był marszałkiem dworu, miał czuwać nad służbą, żył więc w nieustannych gawędkach z dworskimi, a dopełnienie obowiązków ograniczało się podług wyobrażeń jego na tem, żeby z każdego półmiska kosztować potrawy, aby wydzielać pochwałę lub naganę kucharzom.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Już czwarty rok mija, jak czeska wszechnica otworzyła swoje podwoje dla kobiet. Obecnie studentki przygotowywały się do uniwersytetu w szkole Minerwy, której kurs nauk odpowiada czterem wyższym klasom gimnazjum filologicznego. Szkoła ta jest utrzymywana przez stowarzyszenie zwane Minerwa, którego celem popieranie wyższego wykształcenia kobiet. Założycielką i duszą stowarzyszenia jest sławna poetka Eliszka Krasnohorska.

Do dawniejszych ośmiu studentek przybyło na fakultet filozoficzny drugie osm, a ponieważ jedna z poprzednich wyszła za mąż za profesora i przerwała studia, pozostało zatem 15. Prócz tego w charakterze wolnych słuchaczek na filozofię uczęszcza 16 kobiet, przeważnie nauczycielek. Na medycynie, gdzie dotąd z powodu niewytłumaczonej niechęci profesorów, kobiety cierpiane są jako wolne słuchaczki, jest ich siedm, między niemi jedna amerykańska lekarka D-r Własta Bejczkova z Clewelandu. Najstarsze studentki zaczęły siódmy semestr. Wszystkich studentek jest 15 i 23 wolne słuchaczki, ogółem 38. Liczba ta prawie dorównywa 40 studentkom uniwersytetu wiedeńskiego, a jakaż różnica jest w ludności 350,000 Pragi, a przeszło 1,000,000 Wiednia.

Aby wytworzyć konkurencję pensjom klasztorным, które wychowują swe pupilki w duchu niemieckim, a cieszą się wielkim popytem u arystokracji, otworzono w Pradze pierwszą czeską pensję dla córek zamożnych rodziców. Aby pozyskać zaufanie bogatych obywateli, postanowiono pensję urządzić zbytkownie, żeby uczennice nie odczuwały zmiany w warunkach otoczenia. Nowe i gustowne meble w sypialniach są białe malowane, w jadalni i salonach w stylu staro czeskim, ozdobione rysunkami podług wzorów ludowych, wyborne fortepiany są do użytku wychowanek, a wszystko z fabryk krajowych. Łazienka, ogród, doskonała kuchnia, zaspokajają wszelkie wymagania. Na wypadek choroby, w oddzielnie urządzonej infirmaryi zapewnia się opieką lekarską i troskliwy dozór. Rozumie się, że wybrano też najlepsze siły do prowadzenia wykładów naukowych i kształcenia talentów uczennic. Po za lekcjami zapewniono im odpowiednie rozrywki, między które liczy się uczęszczanie do teatru w towarzystwie nauczycielek i dozorczyń.

Cały kierunek zakładu dąży do tego, aby uczennice wyniosły zeń zasób wiadomości naukowych, w życiu potrzebnych, oraz wychowywały się w duchu czeskim, nabrały zamiłowania do wszystkiego co piękne i szlachetne, aby jako przyszłe przewodniczki arystokratycznych rodzin umiały używać majątku i wpływu z korzyścią swego narodu. Pensya obliczona jest na 40 panien, a ponieważ opłata od jednej wynosi przeszło 1000 gul., zatem z czasem oczekiwany jest znaczny zysk, który przeznaczono na założenie podobnego zakładu dla ubogich dziewcząt.

Na zjeździe czeskich kobiet w Pradze, odbytym 15 i 16 Maja 1897 roku, podano projekt założenia „Centralnego stowarzyszenia kobiet czesko-słowackich i wprowadzono go w czyn. W skutek tego wszystkie stowarzyszenia kobie-

ce z Czech, Morawy i Szlązka wysyłają swe delegatki na wspólne posiedzenia, na których obradują o ogólnych sprawach kobiecych. Prócz tego, za pośrednictwem centralnego stowarzyszenia, wszystkie towarzystwa korespondują między sobą, co ułatwia przeprowadzenie wielu spraw specjalnych danej okolicy.

Staraniem „Centralnego stowarzyszenia kobiet“ rozpoczęto w Pradze dwie seryje bezpłatnych odczytów: a) niedzielne dla robotnic i b) czwartkowe, mające zawierać kurs higieny dla kobiet ze średnim wykształceniem. Szereg tych odczytów zagał dr Zahorz, wielki zwolennik ruchu kobiecego. I-y Odczyt o konstrukcyi ciała kobiecego miał dr Schrutz, II pielęgnowanie i odżywianie dzieci dr Scherer, III mieszkanie, opał i światło dr Preininger, IV higiena fizycznego wychowania Klenka, V odpowiednie odżywianie dr Formanek, VI podrabianie artykułów żywności dr Janota, VII higiena oka dr Dyel, VIII grzechy przeciw higienie, spowodowane przez modę dr Chudoba, IX zarazy, higieniczne znaczenie czystości dr Klima, X pielęgnowanie chorych dr Vlasak.

MYŚLI.

Ziarno prawdy pada cicho i leży długo, a po tem wschodzi powoli.

A. Mickiewicz.

Igraszką małą nie można wykupić się u Boga od ciężkiej pracy.

J. Słowacki.

Wierzaj mi, że smutki twoje, są siłą twoją.

Tenże.

Broń się od małych przeczuć, pogardzaj osobistymi, a słuchaj wielkich, ludowych, bo są święte.

Tenże.

Nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują, niż na nogach.

Tenże.

Z ludźmi, jak z kłosem, im pełniejszy, tem prędzej wykruszon.

Z. Krasiński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 1 i 2 powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

Treść: Rodzicielskie złudzenia, przez Szczesną. — Przy kominku (Pogawędka), przez ?? — Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Kazimierz Gliński. Krzywdy. Powieść (dalszy ciąg). — List z Krakowa, przez Al. Św. — Z Rzymu. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). Kronika działalności kobiecej. — Myśli.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 1 i 2. Tom II-gi. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.

Tualeta wieczorowa albo do teatru.

Rycina Nr 1.

Materyał: czarny tiul, pokryty stalowymi pailletkami. U brzegu, bardzo wąskiej w górze, a szerokiej u dołu spódnicy, pailletki gęsto naszyte, tworzą bardzo efektowny szlak. Stanik marszczony, wycięty z przodu i z tyłu w caro, przybrany jest wokoło wycięcia brudno-różowym aksamitem miroité. Na przodach aksamit spięty jest dużym motylem z pailletek. Z pod aksamitu wysuwa się podobna forma do udrapowania z aksamitu draperya z białej gazy. Zamiast paskiem, spódnica zakończona jest w górze paroma rzędami pailletek. Rękawiczki duńskie, jasno-żółte.

Krótki kaftaniczek, z pod którego wysuwa się plisowana gazowa bluzka, zapięty jest z boku i przybrany wyszcieniem ze stalowych pailletek. Przy zapięciu koronka „Cluny,” tworzy zręczny żabot. Wysoki kołnierzyk z marszczonego, różowego aksamitu, połączony jest z kołnierzykiem „Medicis,” podszytym koronką. Wąskie rękawy w odstępach, ułożone są w drobne zakładki. Na pasek użyty jest różowy aksamit.

Suknia z koronkowym karczkiem.

Rycina Nr 4.

Karczek z irlandzkiej gipiury w połączeniu z białym haftem śliczne stanowi przybranie do sukni z kremowego sukienka. Spódnica zapięta

pailletkami. Taki sam szlaczek zakończy falbanę, poniżej karczka, zdobi kołnierzyk, oraz dół rękawów, marszczonych poprzecznie na podszewce z jedwabiu. Szeroka, atlasowa, biała wstążka, związana na dużą kokardę, zastępuje pasek.

Stanik aksamitny do wizytowych tualet.

Rycina Nr 6.

Stanik w rodzaju bluzki, z fiołkowego aksamitu, bardzo oryginalnie przybrany jest białym atlasem i gipiurą. Białe atlasowe karczki, z ułożonych w ząb zakładek, przedzielonych gipiurą wstawką, wszyty jest w stojący, wysoki, w takie same zakładki ułożony kołnier. Wy-



Nr 1. Tualeta wieczorowa albo do teatru.

Nr 2. Tualeta balowa.

Nr 3. Suknia z kaftanikiem i plisowaną bluzką.

Nr 4. Suknia z koronkowym karczkiem.

Tualeta balowa.

Rycina Nr 2.

Lila atlas w połączeniu z żółtą staro-wenecką gipiurą, wspaniałą tworzy tualetę. Długa spódnica, wąski przód ma przykryty gipiurą, wokoło zaś, cztery razy w odstępach naszyta jest gipiurą wstawką. Stanik, wycięty okrągło i z boku zapięty, przybrany jest wokoło wycięcia falbaną z gipiury, z przodu znacznie szerszą, udrapowaną fantazyjnie i spiętą brylantową agrafą. Na prawem ramieniu przypięty jest pęk różowych chryzantemów.

Suknia z kaftanikiem i plisowaną bluzką.

Rycina Nr 3.

Fason ten wybornie się nadaje do tualety z białego cienkiego sukna. Spódnica gładka.

z boku, ułożona jest przy przodzie w kilka szerokich zakładek. Bluzkowy stanik, wszyty w wyżej wskazany karczek, podłożony białą materią, przy karczku ułożony jest w trzy poprzeczne fałdy. Fałdy te na tej samej wysokości ułożone są na rękawach, zakończonych w górze maleńkimi epoletami, odpowiednimi do karczka. Na pasek użyta jest fantazyjna wstążka kremowa. Sute falbany z koronki przy rękach dopełniają całości.

Bluzka z crêpe-chiffon dla młodej panienki.

Rycina Nr 5.

Suto marszczona, bluzka ta wszyta jest w karczek okrągły, zrobiony z tegoż materiału, marszczonego w bufki. Pomiędzy bufkami karczka naszyty jest szlaczek, haftowany stalowymi

cięcie stanika, zapięcie z boku, oraz krótkie epoletki i dół rękawów, podłożone są karbowaną, atlasową wstążeczką. Przy zapięciu z boku, upięty jest koronkowy żabot. Rękawy, od ramion, przybrane są wzdłuż zakładkami z atlasu, zakończonymi z obu stron gipiurowymi wstawkami.

Balowa okrywka z aksamitu miroité i gazy.

Rycina Nr 7.

Biały aksamit w połączeniu z białą gazą, bardzo strojną tworzy okrywkę. Podszyta białym jedwabnym atlasem, przybrana jest naszytymi w odstępach, sutemi riuszami z gazy. Wysoki kołnierzyk „Medicis,” osztyt również riuszą, zakończy kokarda z długimi końcami, osztytami riuszką.



Nr 5. Bluzka z crepe-chiffon dla młodej panienki.

Nr 6. Aksamitny stanik wieczorowy dla osoby w średnim wieku.

Suknia z karczkiem i rękawami z atlasu w paski, z wrobioną frendzelką.

Rycina Nr 8.

Zupełnie nowym przybraniem czarnej wełnianej sukni, jest atlas czarny w ponsowe paski, z wrobioną pomiędzy temi czarną, jedwabną, krótką frendzelką. Przybrania dopełnia wązka pasmanteryja. Suknia wykończona na ponsowej, jedwabnej podszewce, składa się ze spódnicy



S. U.



L. T.



Nr 9 Suknia dla panienek od 15—16 lat (Krój pierwsza strona tablicy Nr VII, fig. 46—52).

Nr 10. Płaszcz wiosenny i kapelusz dla dziewczynki od 7—8 lat.

z wysoką falbaną, zakończoną u dołu i w górze wązką pasmanteryją, i ze stanika, wszytego w karczek, skośnie drapowanego z przodu i zapiętego z tyłu. Zapięcie stanika przedłuża się spódnicy. Wązka pasmanteryja zastępuje pasek. Rękawy przybrane są przy ramionach krótkimi epoletkami, z dodaniem małej draperyi z materiału sukni.

Suknia dla panienek od 15—16 lat.

Rycina Nr 9. (Krój i deseń pierw. strona tablicy Nr VII, fig. 46—52).

Materyał: Wełna w czarną i ponsową kratę, oraz gładkie ponsowe sukno. Przybranie: wyszycie sutaszem. Spódnica z falbaną, zakończoną w górze podwójną wypustką z ponsowego sukna. Krótki kaftanik z małemi śpiczasto zakończonemi wyłogami, z ponsowego sukna i wykładanym kołnierzykiem, otwiera się na marszczonym przodzie z sukna, wzdłuż przodu środkiem przedziela marszczenie kontrafaldy 3—4 centim. szeroka. Przód, ujęty jest w stanie paskiem z tegoż sukna, w ząb wykrajany. Wyłogi, przy kaftaniku, kontrafaldy na przodzie, pasek, epolety, kołnie-



Nr 8. Suknia z karczkiem i rękawami z atlasu w paski z wrobioną frendzelką.



Nr 7. Balowa okrywka „Moire-velours,” ubrana gaza.

rzyk stojący, oraz mankieciki przy rękawach, naszyte są sutaszem według wskazanego na tablicy deseni.

Wiosenne okrycie, oraz kapelusz dla dziewczynki od 7—8 lat.

Rycina Nr 10.

Białą, kaszmirową okrywkę, formą „empire,” przybierają 3 centim. szerokie riusze z atlasowej wstążki. Dół okrywki, naszyty jest niemi 3 razy, w dość dużych odstępach. Falbana przy karczku, odstające mankieciki przy rękawach, oraz wykładany kołnierzyk, oszyty jest także atlasową riuszką. Kapelusik, z tegoż samego co okrycie kaszmiru, bardzo oryginalną odznacza się formą. Najpierw należy go wykonać ze sztywnego muslinu. Marszczona główka łączy się z rondkiem, fałdowaniem w górze 10 centim. szerokiem, przy uszkach zwiężającym się znacznie. Kapelusik przybrany jest kokardą z atlasowej wstążki, oraz białem, strusim piórem.

Sukienka z paltocikiem, dla dziewczynki od 9—10 lat.

Rycina Nr 11. (Pleczy, krój i deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 30—41).

Czarna, wełniana taśma, tworzy przybranie gładkiej spód-

niczki i luźnego paltocika, z ciemno-zielonego szewiotu. Ubranie to może być dopełnione bluzką z tegoż samego, lub odmiennego materiału. Taśma, częścią naszywa się gładko, częścią tworzy desenie. Fig. 39, podaje deseń na spódnice, (tenże sam zmniejszony, na rękawy) fig. 40, na plecach i przodzie, zaś fig. 41, przy kołnierzyku. Paltocik, na czarnej atlasowej podszewce, może być lekko podłączony moltonem. Spódniczka ma podszewkę z zielonej alpaki.



Nr 11. Suknia z paltocikiem, przybrana obszyciem z taśmy, dla dziewczynki od 9—10 lat. (Pleczy, kr. i deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 30—41).



Nr 12. Wiosenny kostium w angielskim guście.

Wiosenny kostium w angielskim guście.

Rycina Nr 12.

Zawsze chętnie noszone angielskie kostiumy, ożywione będą w tym sezonie przybraniem w odrębnym kolorze. Wskazany tu kostium z brązowego sukienka, przybrany jest oryginalnym kołnierzem i pasem, w kolorze jasno-beige. Spódnica gładka, z wązkim przodem, zapięta jest na długie patki, ozdobione szeregiem drobnych guziczków. Obcisły staniczek, zapięty z przodu na dwa rzędy takichże guziczków, zakończony jest przy szyi krótkim napierśnikiem i kołnierzykiem stojącym z ciemnego aksamitu. Kołnier z sukna beige, wykończony stebnowką, otwiera się właśnie na tym napierśniku. Szeroki, gorsecikowy pas, tak samo jak kołnier, wykończony jest stebnowką. Kapelusz w formie toka z aksamitu odpowiedniego do kołnierzyka, przybierają dwa duże strusie pióra, spięte rozetą, przymocowaną klamrą. Po za rozetą wpięte są czaple pióra.

Kostium spacerowy ze stanikiem z baskiną.

Rycina Nr 13.

Materyał: wiśniowe sukienko. Przybranie: aksamit w tymże samym kolorze. Górna część spódnicy wązka i wycięta w zęby. Dół składa się z falbany z materyału sukni, oszytej aksamitną plisą, wykończonej na jedwabnej podszewce odpowiedniego koloru, spoczywającej na drugiej falbanie, jakby na drugiej spódnicy z aksamitu. Górna część spódnicy zakończona jest także aksamitną plisą. Stanik z boku zapięty na perłowe guziki, przybierają wyłogi z aksamitu, na których przystebnowane są pliski z sukna. W ten sam sposób przybrane są rękawy, przód stanika, oraz wysoki stojący kołnier. Kapelusz z białego filcu, przybrany jest wiśniowymi i blade-niebieskimi piórami. Rondko podcina z tyłu aksamitna wiśniowa, lub niebieska rozeta.

Tualeta wieczorowa dla osoby w średnim wieku.

Rycina Nr 14.

Spód sukni z białego jedwabiu. Wierzchnia spódnica, wykonana jest z niezbyt szerokich koronek w ten sposób, że pomiędzy każdą z nich, wszywa się gazową falbankę, zakończoną z obu stron riuszką. Falbanki te tworzą z przodu ząb bardziej ostry, z tyłu zaś zaokrąglony. Górna część spódnicy przybrana jest nadto trzema wstawkami, otoczonymi riuszką. Stanik wykonany w podobny sposób, jak spódnica układa się w rodzaju chusteczki. Wązkie wycięcie przy szyi i długie epolety, zakończone są gazową riuszką. Na pasek dobiera się wstążkę w dowolnym kolorze. Zamiast białej materyi na spód wyżej opisanej sukni użyć można materyi kolorowej, ku czemu łatwo jest spożytkować jakąś znoszoną tualetę.

Ręcznik, ozdobiony koronką i wstawką, robotą klockową.

Rycina Nr 15 i 19.

(Do tego Nr 4 i 6 odwr. str. tabl.).

Bardzo ładna klockowa koronka i wstawka, ślicznie ozdabiają ręcznik z białego, niezbyt cienkiego płótna, 60 ctm. szer., 115 ctm. długi. Ręcznik, ozdobiony jest także ażurem przy obrębie. Dla wykonania ażuru należy wyciągnąć najpierw 6 nitki z płótna i okręcać te ścięciem co 4 nitki. Następnie pozostawia się odstęp na 6 nitki, wyciąga się nitki 16



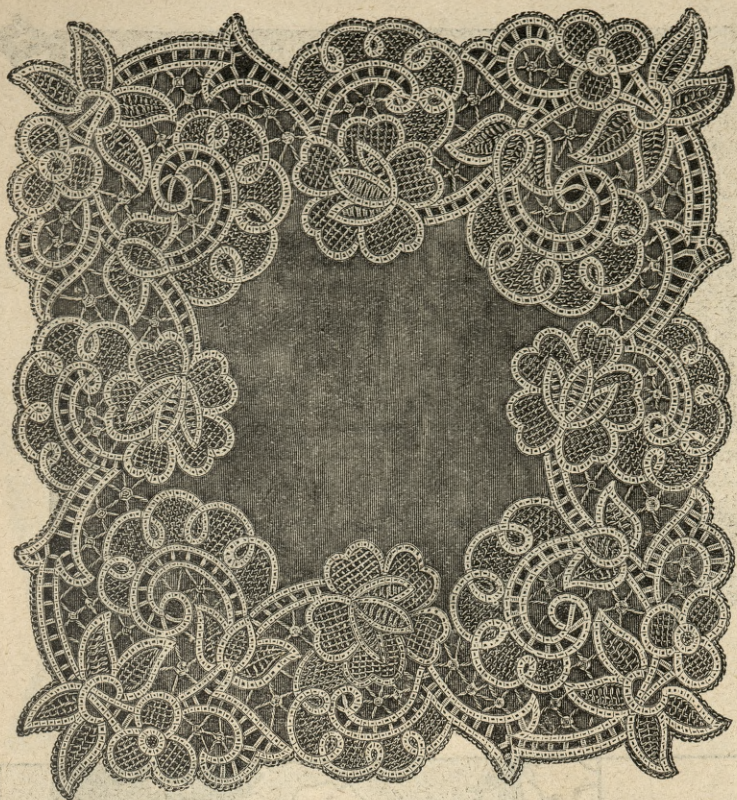
Nr 15. Ręcznik z wstawką i koronką klockową. (do ryc. Nr 19 i na odwr. str. tabl. Nr 4—6).



Nr 13. Tualeta spacerowa z kaftanikiem z baskiną.



Nr 14. Tualeta wieczorowa dla osoby w średnim wieku



Nr 16. Serwetka na meble.
(Deseń pierwsza strona tablicy fig. 64)

i okręca się co 6 nitek, a po-
zostawiwszy znowu pasek płó-
tna szeroki mniej więcej na 6
nitek, powtarza się jak wyżej.
Ścieg wiążący nitki w ażurku,
jestto tak zwany ścieg punto-
tirato.

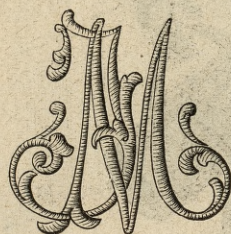
Przepisy gospodarskie.

KREM CZEKOLADOWY.

Kwartę śmietanki zagoto-
wać z laską wanilii i odstawić
do zastudzenia. Kwaterką
mleka rozbić pół funta czeko-
lady, wsypać funt miłkiego
cukru, dodać 2 całe jaja, 10
żółtek, wlać to wszystko w
przestudzone mleko, wymie-
szać i wlać w formę. Głęboki
rądel napęlić do połowy wo-
dą, wstawić formę z kremem,
przykryć rądel szczelnie, wsta-
wić w gorący piec, tak, aby
woda bez zagotowania wrzą-
cą była, a kiedy krem zgęst-
nieje, wyjąć formę z rądla,
ozębnić i wydać na stół.



Nr 20. Suknia z łatwym do rozszerzenia stanikiem.
(Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 13—24).
(Opis w Bl. Nr 5).



J. M.

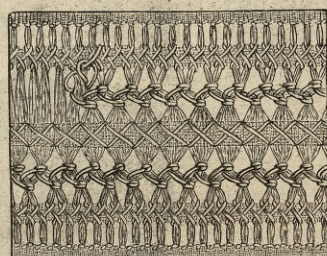


G. B.

cyk, w pół godziny wyjąć z pie-
ca, wyrzucić na półmisek i na
gorąco podać.

OBIAD NA NIEDZIELĘ.

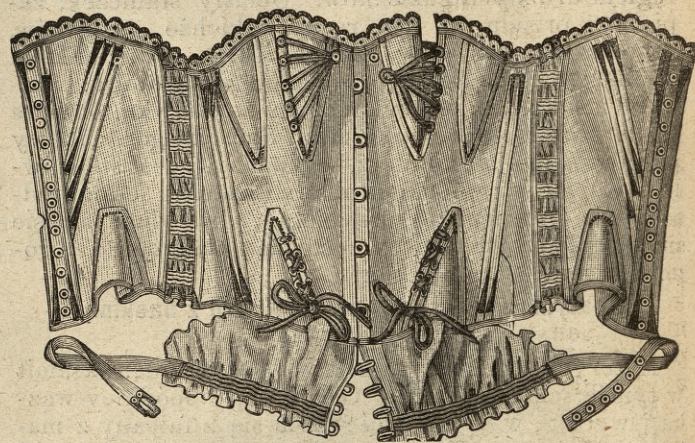
1. Rosół z pulpetami.
2. Paszteciki w naleśnikach.
3. Sandacz po parysku.
4. Kotlety cielęce z groszkiem.
5. Zając z borówkami.
6. Krem ze słodkiej śmietanki.



Nr 19. Wzór ażurowej wszewki
do ryciny Nr 15.
(Wielkość naturalna).

TANI POSTNY PUDDING (BUDYŃ).

Sześć bułek, pokrajać na
cztery części, przez całą sze-
rokość, posmarować świeżym
masłem i układać warstwami
jedne na drugich, w wysma-
rowanym rądlu (kto lubi,
niech przesypie każdą war-
stwę rodzynkami, (za trzy ko-
piejek wystarczy), rozbić
cztery jaja w $\frac{3}{4}$ mleka (trzech
kwatek) osłodzonego
ośmiastoma kawałkami cu-
kru i wstawić w gorący pie-



Nr 21. Gorset, łatwy do rozszerzenia.
(Krój pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 53—59)



Nr 17. Kostium z paltocikiem, przybrany
taśmą. (Krój pierw. str. tabl. Nr II,
fig. 4—12). Opis w Bl. Nr 5.

Nr 18. Suknia skromna
z materiału wełnianego
w kratę.

MAGAZYN BŁAWATNY JANA GRUCZYŃSKIEGO i S-ki

w WARSZAWIE, ulica Krakowskie-Przedmieście Nr 7.

NA SEZON KARNAWAŁOWY POLECA:

Wełny z jedwabiem na suknie wieczorowe, **Jedwabie** od skromnych do najstrojniejszych
adamaszków, **Gazy** i **Muśliny** jedwabne w najmodniejszych kolorach, **Tiule** i **Muśliny**
bawełniane fantazyjne, **Koronki**, **Wstawki**, **Gipiury** i **Galony**.

Ceny przystępne.

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w zeszłym numerze „Bluszczu” podane.